Nr. 41 Warszawa, dnia 26 Września (8 Października) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, składy i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Przewrót w Chinach. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Z działu „Mgły": W wagonie, p. Józefa Jankowskiego. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Lokale szkolne. — Kronika poznańska, p. et. — Listy z Paryża, p. B. — BADANIA NAUKOWE: Ignacy Prądzyński: Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831, p. J. T. Hodiego. — LITERATURA I SZTUKA: Gerhard Hauptmann, p. W. Feldmana. — Berezyna, p. Michała Mutermilcha. — Przegląd muzyczny, p. wł. st. — Notatki literackie i artystyczne. — SPRAWY EKONOMICZNE: Nieco z etyki i ekonomii, p. K. B. Z. — W dali. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

PRZEWRÓT W CHINACH.

Przed dwoma tygodniami stała się w Pekinie rewolucya pałacowa. „Cesarzowa-matka" strąciła z tronu panującego od r. 1875, 26-letniego cesarza Kuang-su i sama objęła rządy w imieniu jakiegoś książątka, które dziś tylko dla almanachu gotajskiego wartość jakąś mieć może. „Cesarzowa-matka" jest matką, nie strąconego, ale jego poprzednika, Cung-czy, który dwa lata tylko cieszył się godnością syna słońca. Kuang-su, jakiś poboczny, dostał się wówczas na tron dzięki łaskawości cesarzowej a pobłażliwości regenta, księcia Konga, brata cesarza Hień-Tonga — zdaje się, ostatniego z Tsingów, który panując i sam też rządził, a umierając w r. 1861, nie patrzył jeszcze na zachodzące słońce potęgi chińskiej. Zwyczaj oddawał tron po jego synu, Czung-czy, wnukowi Konga, którego prawa też obecnie przypominają pekińscy i europejscy, a i tu i tam uczeni, publicyści. Na strąceniu nie ustała energia „cesarzowej-matki," którą zapamiętano jeszcze z czasów opieki nad synem: wszyscy, którzy z Kuang-su trzymali, uznani za spiskujących na życie nowej rządczyni Państwa Niebieskiego, poszli na pal lub szubienicę, głównemu tylko radcy, Kang-Ju-Wei, umknąć się udało. Były cesarz tak niebezpiecznie zachorował, że troskliwa „cesarzowa-matka" musiała wszystkich gubernatorów wezwać o przysłanie „jak najlepszych" lekarzy. Znalazł się podobno zupełnie dobry w samym pałacu. Według wiarogodnych pogłosek, ofiarę uduszono lub zatłuczono, gdy uciekała.

Tego młodzieńca, tego panowania Chiny srodze pożałują, ale za to bez niego Europie dobrze jest, bo łatwiejsze ma teraz zadanie. Strącony cesarz miał jak najlepsze chęci: chciał wpuścić do Chin trochę europejskiej cywilizacyi i europejskich porządków państwowych — w tym zakresie, w którym cywilizacya i porządek nie są trucizną, zabijającą życie słabszych ras i indywidualności politycznych. Jego doradca, ów Kang, miał podobno cały plan przetworzenia nietylko politycznego, ale i społecznego tej 300-milionowej masy, którą wypracowały wieki w dziwnej od świata całego odrębności. Dla planów swych reformator zjednał był umysł panującego, który dopiero po wtargnięciu Europy do Chin, najpierw dyplomatycznem w r. 1894, potem terytoryalnem w latach 1897 i 8, poznał grożące niebezpieczeństwo. Odrzucone w r. 1895 przymierze z Japonią w r. 1898 miało się już stać faktem integralnie z reformatorskimi pomysłami złączonym. Margrabia Ito, znakomity polityk, umyślnie przybył do Pekinu, aby postępowe dążności współdziałaniem Japonii wzmocnić i zaopatrzyć w sprzyjające warunki, o ile je zewnątrz Chin znaleźć było można.

Za jego pobytu właśnie w stolicy północnej stał się przewrót, który i reformy i przymierze pogrzebał. Niema dziś już tak naiwnego umysłu, któryby mógł w straszliwą choćby ilościową tylko potęgę Chin wierzyć i przewidywać wylanie się wrzątku chińskiego, choćby tylko w piaski turkomańskie. Chiny mogą nadal żyć u siebie i w sobie jako naród, jako ogrom narodowy; ale mocarstwem już być przestały na scenie życia międzypaństwowego; bogdychan, czy innej jakiej, historycznej nazwy, władca, będzie tylko statystą. Potęga chińska wyśpiewała już wszystko, co umiała. Liczyć na odradzający jakiś podrzut wewnętrzny niepodobna; może on przyjść, ale tylko jako szczęśliwy wypadek losowy.

Tydzień polityczny. W wiedeńskiej Radzie państwa czynności zaczęły się d. 29 z. m.; nazajutrz lewica przepchnęła bezzwłoczne obrady nad ugodą z Węgrami: niczego innego i prawica pragnąć nie mogła. D. 3 b. m. rozpoczęło się już czytanie. Bismarczycy pobudzili aż 55 mówców do gadania. Stronnictwa autonomiczne zrzekły się głosów. Owego paragrafu 14-go—niestosującego się nawet teoretycznie—mógłby p. Thun i praktycznie wcale nie stosować, gdyby nie widmo obstrukcyi, w którą Bismarczycy niezawodnie uderzą, gdy rząd będzie już bliskim uzyskania niezbędnego konstytucyjnego porządku, a w nim pożycia państwowego z Węgrami. Smutną rolę grają pp. Stojałowski i Daszyński. Kto nie widzi, że § 14 jest jedyną ucieczką przed nieładem, niemocą i martwotą, kto deklamuje o prawach konstytucyjnych i mniema, że lepiej będzie bez postanowień, bez porządków — gdy je wszystkie Niemcy zatamują, niż z postanowieniami i porządkami przez samego tylko cesarza austryackiego wprowadzonemi— ten, naprawdę, ma wszystkie kwalifikacye na waryata.

W sprawie Dreyfusa coraz więcej nowych wskazówek, a w dawnych kłamstw i zmyśleń. Esterhazy nakładcy Esterhazego, ogłoszenia nakładców stają się już materyałem politycznym. Ciekawe, a zdaje się prawdopodobne, odkrycia o lekkomyślności sztabu generalnego francuskiego w r. 1897 podczas zaognienia się stosunków, są poważniejsze od innych. Nie mając jeszcze wówczas broni wielostrzałowej, oszukano żołnierza francuskiego bajką, że Niemcy posiadają tylko gdzieniegdzie magazynówki: i to miało utrzymać ducha!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LOKALE SZKOLNE.

W najnowszej sztuce Zapolskiej, osnutej na tle stosunków i zwyczajów żydowskich, jest jedna drobna postać: Lajbele, uczeń chedoru. Malec wycieńczony, anemiczny, męczony rutyną nauki ogłupiającej, tj. wtłaczaniem w głowę takich wiadomości, które nie pozwalają mu ani myśleć, ani się rozwijać umysłowo— dusi się z braku powietrza, mdleje i w końcu umiera. Scena w brudnym,

ponurym, wilgotnym chederze, przepełnionym wybladłą dziatwą, jest wiernie z życia pochwycona i stanowi obraz tej ważnej kwestyi, która wkracza w życie społeczne, potrąca o różne zjawiska doniosło i dotyczy nietylko mas żydowskich. Niezdrowie — jest to wszechwładna siła, która ogarnia masy różnoplemienne i różnoklasowe. Pomimo to w naszem społeczeństwie walka z tą siłą jest niesłychanie słaba i to tam, gdzie powinna być najzaciętsza, mianowicie gdy chodzi o obronę organizmów dziecięcych i młodocianych od zagłady. Tymczasem Lajbele, to nie jest typ tylko z chederu. Trochę odmienny zewnętrznie, lecz w gruncie taki sam znaleźć można we wszystkich szkołach i szkółkach naszych, zarówno męzkich, jak i żeńskich, czy to w Warszawie, czy też na prowincyi. Rodzice, którzy z wielkim wysiłkiem zdobyli się na letnie mieszkanie, niemal na wagę złota kupowali powietrze dla swojej dziatwy i uradowani, że po trzech miesiącach wróciła im cera normalna, blask oczu, apetyt i siły, dziś skarżą się, że cała ta kuracya świeżem powietrzem znikła zupełnie. Już po kilku tygodniach uczęszczania do szkół oczy malców i dziewczynek przygasły, zapadły i podsiniały, cera stała się przezroczystą, anemiczną, uśmiech z twarzy zniknął, apetyt się zmniejszył. Dziatwa po kilku godzinach pobytu w klasie wraca do domu chora, z bólem głowy, stała się podobną do Lajbele.

Przyczyna tego stanu jest powszechnie wiadoma i stwierdzona: obok wadliwego systemu pedagogicznego, przypominającego w wielu programach metodę chederu, jest zupełny brak powietrza. Śmiało można powiedzieć, że prawie wszystkie lokale naszych szkół są przerobione z mieszkań prywatnych. Tym sposobem w jednym pokoju, w którym normalnie może oddychać bez szkody dla zdrowia najwyżej cztery osoby, mieści się 30—40 dziewczynek lub chłopców. Z takich warunków mogą one wynieść jeden tylko pożytek: mocno zapamiętać, dzięki metodzie poglądowej, ową psią grotę, której nie pominie żadna popularyzatorka chemii na pensyach.

Przechodząc do faktów, bierzemy pierwszy lepszy przykład, opis szkółki miejskiej w Ostrołęce, podany w *Echach płockich i łomżyńskich*: „W stancyi, mającej długości 11 łokci, szerokości 10 i wysokości 4, posadzono, a właściwie wpakowano osiemdziesiąt kilka dziewczynek. Literalnie niema czem oddychać, zupełny brak powietrza. Do tego należy dodać, że tylko jedna nauczycielka zajmuje się w takich warunkach uczeniem tej masy dzieci. Nie koniec jednak na tem, gdyż ilość uczenic ciągle się jeszcze powiększa, do tej chwili zgłosiło się z górą 100 dziewczynek, których naturalnie nauczycielka przyjąć nie może z powodu braku miejsca. Nieprzyjęte dzieci z płaczem wracają do domu. Za chwilę ich rodzice lamentując, zjawiają się w szkółce. Nauczycielka tłomaczy im, że więcej dzieci z braku miejsca przyjmować nie może; lament się wzmaga. Nauczycielka, nie wiedząc co robić i jak się pozbyć nieszczęśliwych rodziców, radzi im udać się z prośbą do magistratu: tu znowu krzyk i lament: w magistracie p. burmistrz, ruszając ramionami, oświadcza im, że sam temu zaradzić nie może, lecz każe „bębnić" na obywateli. Zbiorą się — mówi — i uchwalą podwyższenie składki szkolnej na wynajęcie dodatkowego lokalu i utrzymanie drugiej nauczycielki. Zabębniono! no... i znowu na tem skończyła się ta paląca u nas kwestya szkolna. A przecież ta sama nauczycielka już od dwóch lat ciągle kołacze do drzwi magistratu o powiększenie lokalu szkolnego i dodanie jej pomocnicy."

Jest to obrazek jeden z wielu. Ci, którzy rozumieją całą doniosłość nauczania w warunkach hygienicznych, próżno kołaczą do różnych wrót o środki zaradcze. Przejrzyjmy uważnie statystykę szkolną, a będziemy mieli najsmutniejszy obraz z dziedziny naszego wychowania. W ciągu ostatnich lat kilkunastu dziatwa szkolna wzrasta olbrzymio. W stosunku do tych rzesz płci obojej, zakładów naukowych przybywa bardzo mało. W Warszawie istnieje zaledwie kilka szkół, posiadających własne wzorowe lokale, dzięki ofiarności jednostek zamożnych. Natomiast wszystkie szkoły średnie, wszystkie pensye mieszczą się w lokalach prywatnych, przeznaczonych pierwotnie dla mieszkańców średnio zamożnych. W ostatnich jednak czasach skutkiem rozwoju spekulacyi budowlanej, zaczęto tworzyć lokale mniejsze, ciasne, niewygodne nawet dla rodzin niezbyt licznych. I te z braku innych, użyto także na szkoły. A cóż mówić o szkółkach miejskich, początkowych itd.? Mieszczą się one poprostu w norach, niewiele się różniących od chederów. Przed laty dwunastu mieliśmy do czynienia z taką szkołą na Podwalu. Okna izby ciemnej wychodziły na wązkie, cuchnące podwórze. Skutkiem mroku, prawie nie można było dojrzeć uczniów w dalszych ławkach. Po godzinie wychodziliśmy stamtąd odurzeni i wrażliwi na światło, jak gdyby po wyjściu z piwnicy. W takich kamerach asfiksyjnych spędzają cały dzień liczne rzesze naszej dziatwy. Prawo fabryczne wymaga, ażeby wszelkie warsztaty i zakłady przemysłowe były przestronne, widne, posiadały dużo powietrza i światła dla ludzi dorosłych, pracujących fizycznie. Jakież surowe wymagania należałoby zastosować względem lokalów szkolnych, gdzie pracuje umysłowo z wielkiem natężeniem dziatwa wątła, rozwijająca się! Chcąc atoli w tym wypadku zastosować taki rygor, należałoby większość szkół zamknąć wtedy, gdy ich nam potrzeba jeszcze sześć razy więcej.

Poszukajmy na to innych sposobów. Wogóle budżet szkolny jest tak skromny, że nie może zadość uczynić nawet dziesiątej części potrzeb najpilniejszych. Żadne więc tutaj bębnienie nie pomoże, dopóki samo społeczeństwo nie przyłoży ręki. Mamy dziesiątki tysięcy rubli na „insty-

---

Z działu: „Mgły."

I.

W WAGONIE.

Powracałem na letnie mieszkanie z Warszawy, dokąd na kilka godzin przyjechałem, jak to parę razy w tygodniu miałem zwyczaj czynić. Byłem sam jeden w przedziale pierwszej klasy, patrząc przez okno i snując przygodną, tę bez troski przędzę, z którą czasami tak dobrze, jak w chwilach bardzo błogiego wypoczynku. Pociąg już miał ruszać, kiedy do wagonu pospiesznie wsiadła trzydziestoletnia może—wytwornie ubrana kobieta — z dziewczynką, nie więcej nad lat dziesięć mającą, i zajęła miejsce w przedziale, w którym się znajdowałem, — z drugiej strony okna. Pociąg ruszył. Usiadłem i zacząłem dyskretną obserwacyę mego „naprzeciwko," jak to zwykle w takich razach czynimy. Przedewszystkiem zauważyłem, że była bardzo piękną. Typ był jakiś włoski czy francuski — wytworny, szlachotny. Brunetka — nie zanadto śniada, raczej czerwonawa, z purpurowemi, jakby trochę spalonemi ustami, z pięknem czarnem okiem, rzucającem miękkie żółte blaski, i z bardzo zgrabnym nosem, w którym nozdrza ciekawe, najwdzięczniej wykrojone, jakby naprzód się wysuwały. Zdjęła kapelusz, z pod którego wysypała się formalnie cała kaskada czarnych bujnych włosów. Zręcznym ruchem dłoni natychmiast je upięła. Potem zaczęła się krzątać, układając paczki, drobne pudełka, polecając usiąść dziewczynce itd. Kiedy to ukończyła i zdawała się być zadowoloną ze wszelkiego porządku, zasiadła nieco głębiej i wygodniej—i już z myślą swobodną, oddającą się rzeczom przyjemnym, jęła powolnie wyjmować z podróżnej torebki pudełka z klejnotami, widocznie świeżo zakupione lub też odebrane z reperacyi. Była tam broszka z drogiemi kamieniami, bransoletka, wysadzana brylantami, długi sznurek pereł i coś tam jeszcze. Każdy z przedmiotów wyjmowała, kładła na dłoni lub oplatała sobie rękę — i z przyjemnością, nieco odchylona, okiem roziskrzonem grę kamieni śledziła. Ręka kilkakrotnie w tę lub ową stronę się przesuwała, aby działanie światła mającego się ku zachodowi letniego dnia lepiej było wyzyskane. Nie dosyć na tem. Niezadowolona widać z tego, że wrażeniami nie ma się z kim podzielić, przywołała siedzącą opodal dziewczynkę i w dalszym ciągu tęczą się napawała, pokazując nieletniej to lub owo i rzucając zapytania: „co? ładne?..." na które, rzecz prosta, przeczącej odpowiedzi być nie mogło. Dziewczynka patrzyła również roziskrzonemi oczyma, lecz kiedy ośmielona po przedmiot któryś sięgnęła, spotkała się ze stanowczem matki: „nie rusz tego!" i rękę szybko cofnęła. Matka, czy to w celu osłodzenia zakazu, czy też ze względów osobistych, sama natomiast przypinała do ubrania dziecka tę lub ową błyskotkę, odsuwała ją na przestrzeń ręki i widokiem się poiła. I byli oboje, jak dzieci, poprzestający z zabawkami i chwili niepamiętni.

Smutno mi się zrobiło. Rys nieśmiertelny Małgorzaty stanął żywy przed memi oczyma — i boleśnie dotknął serce. Mój Boże! Co będzie z tej dziewczynki? Fala życia ją uniesie, ukazując na swej spienionej powierzchni tęczową w snach grę światła, przypominającą brylanty... I nic tej fali mocną nie będzie! A jeżeli nawet wytrwa i sumieniu nie zaprzeczy, to jedynie tylko dlatego, że brylantów odpowiedniej mocy i wielkości szatan na drodze jej życia nie złoży — i tę tylko zasługę mieć będzie odporności! Zawsze tu pierwszem błyskotka, choćby nie wiem jak teoryę życia kobiety nicować! I naj-

tuty hygieniczne,“ w których przygodna gromadka dzieci suterenowych ma się uczyć zasad hygieny, gwałconej z konieczności w życiu, ale nie mamy żadnych ofiar na wzniesienie gmachów szkolnych. Zresztą można byłoby w znacznej części zaradzić złemu nawet bez filantropii: założyć spółkę budowy domów na szkoły. Dotychczas, o ile wiemy, właściciele domów każą sobie bardzo drogo płacić za lokale szkolne, pod pozorem możliwego zniszczenia. Otóż gdyby powstały takie domy, specyalnie zbudowane i dla szkół przeznaczone, to niewątpliwie wypadłyby one znacznie taniej, co pociągnęłoby za sobą uprzystępnienie szkół prywatnych. Dziś ich właściciele pobierają za naukę wysokie opłaty, tłomacząc się nadmiernie wygórowanem komornem.

Oprócz środków powyższych, należy budzić w społeczeństwie poczucie potrzeby szkół i wogóle oświaty. Dopóki to poczucie nie rozwinie się w sercach i umysłach ogółu tudzież we wszelkich jego organach i instytucyach, póty oświata będzie zajmowała ostatni szczebel w obowiązkach społecznych. Jak te obowiązki są dziś traktowane, świadczą fakty następujące: Jedenaście osad w pow. Nowoaleksandryjskim odmówiło funduszu na utrzymanie szkół miejskich. A oto, co pisze korespondent *Kuryera Warsz.* z Tomaszowa: „Po trzykrotnem zapytywaniu władz naukowych, ileby miasto zadeklarowało zasiłku rocznego w razie otwarcia szkoły realnej, magistrat w czerwcu r. b. wezwał około 80 osób dla naradzenia się nad tą sprawą. Z 80 wezwanych przybyło aż kilkunastu, a w liczbie tych niektórzy wyłącznie po to, aby oponować. Upatrywano rozmaite przeszkody, pieniężne i wyznaniowe. Nareszcie uchwalono niby zaofiarować rocznie 10,000 rb. i jednorazowo tyle, ile będzie potrzeba. Zdawałoby się tedy, że lody przełamano i że doczekamy się pomyślnego załatwienia tego projektu. Tymczasem oto już październik, a dotychczas nawet protokół naradczy, lubo już gotowy, nie jest podpisany i wysłany, dokąd należy. Szkółki elementarne wszystkich wyznań przepełnione; znaczna część dziatwy nie znajduje w nich miejsca, ale o tem w Tomaszowie nikt jakoś nie pomyśli.“

O stosowne lokale dla szkół widzimy jeszcze mniej zabiegów. Śród miast prowincyonalnych jeden tylko Kalisz wykołatał sobie własny gmach dla szkoły realnej, który będzie wzniesiony kosztem 100,000 rubli.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Emigracya na Wschód. — Kolonie i wzmocnienie żywiołu polskiego w miastach. — Nowe ulgi dla kolonistów niemieckich. — Jak na tem wyjdzie skarb i ogólne interesy państwa? — Interes i łupiestwo prywatne w skórze patryotyzmu urzędowego. — Zjazd i program prawników niemieckich.

Nieraz już na tem miejscu wykazywaliśmy bezowocność walki Niemców z narodowością polską: Żyje ona i rozwija się nietylko duchowo, lecz i liczebnie, pomimo teroryzmu germańskiego. Obecnie mamy garść faktów, które poprą nasze dawniejsze wywody ogólne. Jak wiadomo, ziemie polskie od dawien dawna były rolnicze i jeszcze przed laty trzydziestu nosiły na sobie tę cechę ogólną życia ekonomicznego. Natomiast przemysł i rzemiosła były specyalnością Niemców, którzy się wcisnęli tłumnie do miast i miasteczek polskich. Polacy w tych szeregach stanowili mały ułamek. Tak np. spis ludności w r. 1861 wykazał Polaków: w Poznaniu 14,066, Bydgoszczy 114, Wrocławiu 72, Gdańsku 24. Natomiast Polacy zamieszkiwali masowo wschodnie prowincye Królestwa Pruskiego, większość zaś stanowili w Ks. Poznańskiem. Nie było ich wcale w Westfalii i Saksonii. W Brandenburgii mieszkało tylko 16 i tyluż w prowincyach Nadreńskich; na Pomorzu 3,677. Po spisie powyższym w ciągu lat kilkunastu widzimy powolny napływ ludności polskiej ze wsi do miast i częściowe opanowanie w nich przemysłu i handlu. Przyczyną tu jest obok pogorszenia się warunków bytu na wsi, gwałtowny napływ na prowincyę żywiołu niemieckiego. Fala ludności polskiej, wypierana z szerokiego łożyska prowincyi, musiała rozlać się po miastach.

Ale oto fala ta zaczyna wyżłabiać sobie inne koryto w kierunku zachodnim. W r. 1878 w ogólnej liczbie cywilnych mieszkańców Berlina 922,203, było Polaków, pochodzących z różnych prowincyj, 38,000. Następnie już co rok liczba ta wzrastała widocznie. Takie samo zjawisko dostrzegamy również w innych miastach. W r. 1895 wykazano, iż w Berlinie, Wrocławiu, Magdeburgu, Frankfurcie, Kolonii, Altonie, Hanowerze, Bochum i wielu innych liczba Polaków od r. 1875 wzrosła podwójnie. Dane te stwierdzają, iż utrwaliła się stała wędrówka ludności polskiej ze wschodu na zachód. Są tu dwie najważniejsze przyczyny tego doniosłego zjawiska: nędza w stronach ojczystych i wyższa kultura w zachodnich prowincyach niemieckich z całym aparatem, wysysającym siły i pracę ludzką za tanią płacę; nie o tyle wszakże tanią, ażeby ona nie pociągnęła naszego robotnika, dla którego skala zarobków na zachodzie stosunkowo jest jeszcze wysoka i ponętna. Oczywiście lud nasz, bezrolny, ciemny, nieodznaczający się ani przebiegłością, ani uzdolnieniem fachowem, nawet tam, gdzie lepiej płacą, nie może otrzymywać za swoją pracę tyle, ile pobiera miejscowy robotnik niemiecki, nasiąknięty wszelkimi pierwiastkami kultury. Taki towar robotniczy z prowincyj polskich, jakkolwiek ciemny i mało produkcyjny, stanowi masę rąk, bardzo chętnie przyjmowanych przez przedsiębiorców niemieckich. Dzięki więc temu nowemu łożysku, w którem nieustannie ku zachodowi płynie fala ludności polskiej, dziś już liczba wychodźców naszych dosięga 150,000, oprócz kilkudziesięciu tysięcy Polaków z Galicyi i Królestwa Polskiego.

Do większych ognisk ludności polskiej na obczyźnie zaliczyć można: Berlin, Altonę, Halę, Hamburg i Essen. Dzięki skupieniu się masowemu na terytoryach niemieckich, ludność nasza może zachować swą odrębność pod każdym względem. Zwykle kolonie polskie starają się mieć swoje kółka, towarzystwa polityczno-robotnicze, katolicko-robotnicze, przemysłowe, w których pielęgnują poczucie narodowe i rozwijają oświatę. Świadomi tych

---

idealniejsze istnieją tylko przez to, że niema do przeciwwagi idealniejszych jeszcze — kamieni! I to jeszcze największe nieszczęście, że żadna z nich tego o sobie nie wie—ani w chwili dobrej, ani w chwili złej. Kwiat oto rzucony na fali, a reszta — wypadek... tęczowy! Karą i przekleństwem taka bierność ich bytu dla tych, co gorsi może w grzechu i upadku, stokroć jednak więksi w walce i świadomym dróg wyborze! A która z nich inna, z wiecznym rysem kobiecości i przeznaczeń swych dla ziemi się mija...

Takie myśli niewesołe, jak ćmy nocne, tłukły się o moje serce — pyłu wiele zostawiając. I byłem chwilę bardzo smutnie zaśniony. Lecz oto na szczęście towarzyszka moja złożyła wszystko z powrotem, zamknęła torebkę, snać wrażeń syta na dzisiaj — poleciła córeczce położyć się na kanapie — co też ta, jak długa z nóżętami uczyniła —, sama zaś, oparłszy tył głowy o poduszki, zamknęła oczy i tak siedząc została, snu widać biernego pragnąca.

Pociąg pędził i falę mych myśli na inne — mętne tory skierował.

Byłem sam jeden z kobietą piękną (bo dziecka śpiącego w rachubę nie brałem), tak blisko, żem prawie nogami jej nóg dotykał, z kobietą ponętną, od której łuna jakaś biła zdrowia i czerstwości, — jakby stworzona do upojeń i rozkoszy, — z kobietą, która odrazu akord jakiś niepokojący na zmysłach moich zagrała. Czemuż nie mogę choćby dla chwili przelotnej upojeń tych skosztować? Wszakże czynię to w myśli, mocen jestem w wyobraźni! Oto zbliżam jej usta do moich... Jakże słodko i rozkosznie z zamkniętemi oczyma spadać w te mętne, ogniowo kręgi zapomnienia — mgieł dymno-czerwonych, upalnych... I nic nie pamiętać... Zaprzepaścić wszystko życie i nieszczęście, losy własne i cudze — ba! śmierć nawet dla jednego dreszczu do nicości upośledzić — do śmiesznej, szybkiej, jak piorun, myśli możności równania i zestawienia tej chwili z całym szeregiem lat istnienia i pamięci... Samemu być dreszczem rozkoszy — i tyle tylko pamiętać... Przez rozognioną wyobraźnię przepłynął splot jakiś dwojga ciał, zwarty w piekielnym uścisku szaleństwa... Fala jakaś w tchnieniach gorących, jak krew, oderwała się od serca mego i podpłynęła aż pod gardło. Jest że to namiętność?—myślałem. Grzeszna, gorsząca namiętność? Chęć użycia dla użycia? dla ślepej rozkoszy? Nie! boleść raczej w tem moja, skarga i niedola wielkiej, nieszczęsnej pamięci życia! Wszakże już sam się tą nieszczęsną pamięcią za chwilę przeszłą truję, nic tej kobiecie nie uczyniwszy, nic w jej umyśle nie zaważywszy.

A może to *ta?* myślałem dalej. *Ta*, od której istotne zaślepienie moje spłynąć by miało, zmiana uczuć i myśli, fala prosta i zdrowa, mało siebie pamiętna, płytkiem łożyskiem wygody, zasklepionej wygody gospodarskiej płynąca?... Nie! nie! do tegom niezdolny! Wieczne jakieś tułactwo— i poszukiwanie — i niezniszczenie od wieków piętnem w całą mą istotę się wgryzło — i tak już będzie do końca dni moich... Więc — miłość? i szaleństwo — i tory szerokie życia, próby ognia, zazdrości, łez, ekstaz, zachwytów, wniebowzięć i upadków? — Na jak długo? A potem — co? Wiemy coś o tem. Więc — chwila — i upojenie, i przelotność, i ciągle nowa czara — i upodobanie napoju, nie czary— aż do niepamięci! Ha!...

Wpiłem się w spoczywającą bezwładnie oczyma — długo, uporczywie — i w myślach i we władz napięciu zda się bliżej i bliżej ciałem koło niej się znajdowałem. Szarzało już pod zachód. Niepokojący, szybki ruch i kołysanie wagonu przyprawiało śród ciszy o jakąś mętność myśli i dziwactwo — i możebność rzeczy sennych, nadzwyczajnych... Wyobraźnia znów płomienieć poczęła. Byłem we władzy tego kołysania, nic mu zaradzić nie mogłem, a myśl, jakby w niezdrowiu i omdlałości, tłukła się o ściany ciasnego swego mieszkania, ciągle się ku

stosunków i życia naszych rodaków na obczyźnie, utrzymują, że dzięki temu cieplu i światłu z ognisk polskich, ludzie, nawet w znacznej części już zniemczeni, odzyskiwali dusze i serca polskie i otrząsali się zupełnie z obcych naleciałości. Wogóle kolonie polskie na zachodzie są dość duże; przeciętnie najniższa cyfra ludności dosięga 10,000 Z mniejszą liczbą są już rzadkością. Oczywiście bywają i drobne grupki, wysepki pływające po oceanie germanizmu. Te są podatniejsze na wpływy obce, na wiatry i burze nieprzyjazne, wrogie. Ale niejedna taka wysepka, przypędzona wichrem do lądu większego, może tam przyrosnąć i ocaleć. Naturalnie byłbym wielkim optymistą, gdybym utrzymywał, że ta wielka fala emigracyjna płynie do samego końca czysta. Zabiera ona po drodze muł wszelaki, różne odpadki. To też pewien procent idzie na przepadło, ulega zniemczeniu i spodleniu. Ale to przecież jest zjawisko stałe na całym świecie Ludność krajów niezależnych, odrębnych politycznie, ulega temu samemu losowi w wędrówkach za chlebem: pewna część zawsze wsiąka w obcą narodowość. To wszakże na pociechę musimy zaznaczyć, że śród ludności polskiej procent ten, w stosunku do innych narodów, jest najniższy.

Emigracya ludności z prowincyj rdzennie polskich wyrządza im wielką szkodę i osłabia oporność na miejscu, ale znowu nie w tak bardzo zatrważających rozmiarach. Inne bowiem cyfry wykazują, że ludność polska wzrasta nieustannie drogą naturalną.

Na wzmocnienie żywiołu polskiego w miastach tudzież na siłę i liczebność kolonij polskich we wschodnich prowincyach państwa Niemcy już zwrócili uwagę i obmyślają obecnie nową kampanię wynaradawiania, dla której wzorem ma być komisya kolonizacyjna. Nie ulega wątpliwości, że wydobędą oni cały arsenał środków ohydnych, haniebnych wobec świata cywilizowanego, że pociągną do tej walki gotową już armię hakatystów i powołają nowych ochotników, tudzież wszelkie zapasy, dotąd nieczynne. Z góry jednak możemy się pocieszyć, że i ta walka będzie jałową, że przeciwko wrogom naszym wystąpi nietylko oporność i poczucie narodowe, lecz czynniki i żywioły czysto ekonomiczne. Niemiec jest dobrym patryotą, dopóki może nim być bez naruszenia własnej kieszeni. Ale niech tylko każą mu ją wypruć i zrobić z niej sztandar — schowa się on w milczeniu, pozatyka sobie uszy i nadal będzie korzystał z tanich sił robotniczych ludności polskiej. Prawdziwy Niemiec-przedsiębiorca nie pragnie zagłady narodowości polskiej, bo jest ona dla niego stadem owiec, które bezkarnie można stale strzydz. Zapewne, mięso byłoby smaczne i skóra przydałaby się także; ale to jest zysk jednorazowy, gdy tymczasem dochód z istot żywych jest stały i obfitszy. Hakatysta nienawidzi Polaka całą swoją duszą; ale zrabowawszy go, pozwoli mu znowu krwawą pracą zdobyć podstawy istnienia, ażeby z nich w przyszłości powtórnie skorzystać. Całe to robactwo urzędnicze, pełzające po skórze polskiej, wszelkie pasorzyty kolonizacyi — to przecież wyborny interes pod hasłem patryotyzmu niemieckiego! Cóżby się stało z tym patryotyzmem, gdyby narodowość polska zaginęła?! Trzeba byłoby sprzedać go za bezcen tandeciarzom kosmopolityzmu.

Pod wygodnym pozorem wynaradawiania Polaków za pomocą roboty zorganizowanej, różne bandy rabusiów pruskich okradają i wysysają skarb własnego państwa. Ponieważ praktyczna ludność niemiecka z zachodu niechętnie dążyła do prowincyj polskich w roli kolonistów, więc hakatyści rozwinęli wszelkie usiłowania, ażeby rozszerzyć przedsięwzięcie kolonizacyjne i przy sposobności umaczać ręce w kasie skarbowej. Jakoż owoce ich zabiegów streściły się w następujących najświeższych postanowieniach komisyi kolonizacyjnej: 1) Ziemi nie trzeba płacić gotówką. Może ona być własnością kolonisty od chwili, gdy się zobowiąże do opłaty renty rocznej w wysokości maksymalnej 3% od włożonego przez komisyę kapitału. 2) Wprawdzie nabywca powinien posiadać niezbędny fundusz na postawienie budynków, względnie na zwrócenie ich kosztów, ale sama ta może być zakredytowaną w formie ... pożyczki amortyzacyjnej. 3) Przez pierwsze trzy lata nowonabywca może być uwolniony od płacenia renty. 4) Koloniści, przybywający z dalszych stron, mogą otrzymać zasiłek na koszty podróży; nadto skorzystają jeszcze z innych ułatwień. 5) Przy budowie i pierwszem zagospodarowaniu się kolonista liczyć może na pomoc ze strony administracyi dóbr rządowych: Materyał budowlany — cegła i kamienie polne — dostarczane im będą po możliwie najniższej cenie. 6) Kolonista, który w pierwszym roku z powodu budowy nie może uprawiać roli, otrzyma bezpłatnie żywność dla całej rodziny oraz paszę dla bydła. 7) Komisya dostarczy kolonistom drzew owocowych, biorąc na siebie trzy czwarte kosztów. 8) Dla zmniejszenia ciężarów publicznych, nowe gminy kolonizacyjne otrzymają bezpłatnie grunty, których wartość równa się zwykle 5% wartości gruntów podzielonych. W razie potrzeby wzniesienia kościoła lub szkoły, koszt budowy weźmie na siebie państwo.

Wyobraźmy sobie teraz, jakie olbrzymie koszty państwo ponieść musi, ażeby wypełnić należycie tych ośmiu warunków! Już dziś można przewidzieć rezultat: Po latach kilku lub kilknastu znikną miliony, z których znaczna część utonie w kieszeniach całej armii „patryotów," pracujących około kolonizacyi. Skarb państwa wysili się nadmiernie, z wielką szkodą ogólnych interesów ekonomicznych i w rezultacie stworzy kosztowną cieplarnię z grządką egzotycznych kwiatów kolonizacyi, z których większość uschnie przy pierwszym podmuchu surowszym. Za miliony marek pozostanie kilka tysięcy rozpanoszonych i rozpróżniaczonych kolonistów, którzy najmniejszego pożytku państwu nie przyniosą. Jeżeli twórcy „wyższej polityki" nie rozumieją dziś jeszcze tego, to są bardzo naiwni i odurzeni hakatyzmem. Jeżeli zaś rozumieją, to działają sprytnie a bezczelnie na własną korzyść pod pozorem interesów państwowych. Świadczyłoby to, że banda opryszków wtargnęła do najwyższych sfer decydujących.

Tam, gdzie do upozorowania gwałtu, krzyczącego wobec dziejów cywilizacyi, użyto logiki, musiała ona kozła wywrócić i pokazać światu ciemiężycieli w całej nagości. Nie pozwolono na zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu, pod pozorem niby zapobieżenia manifestacyom politycznym, jakie mogłyby wyniknąć ze strony gości cudzoziemskich tudzież gospodarzy miejscowych. Tymczasem w parę miesięcy po tym bezprzykładnym zakazie zwołano w Poznaniu zjazd prawników niemieckich, i postawiono na pierwszym planie manifestacye polityczne tudzież wystąpienie wrogie wobec ludności polskiej w Poznańskiem Co więcej...

---

niej pochylając. Pod wpływem tego ciągłego patrzenia w jej twarz, błysnęły bez mej woli prawie kształty jej dalsze — wyzwolone — raz, drugi i trzeci, sennie, przelotnie, to w pozie, w której spoczywała, to w innej, ni to przypomnienie... Zachwyt dla pięknych form i linij przemknął, jak uśmiech promienny, i utonął gdzieś w mglach ciężkich, które niewiadomo zkąd się w mej piersi zbierały... Uczułem jakąś fizyczną tęsknotę zbliżenia się rzeczywistego — realnego — do tej kobiety pięknej, nieznanej, snu lekką gazą zaróżowionej, bezwładnej jakiemś sennem rozmarzeniem twarzy, z zamkniętemi oczyma, patrzącej ku mnie jedynie parą różowych rozchylonych nozdrzy... Cicho i ostrożnie podniosłem się z siedzenia i stanąłem, nie czyniąc kroku, tuż przy otwartem oknie, zasłaniając je plecami. Skraj sukni jej — ciężki, powłóczysty zwisał wielką fałdę i dotykał mej nogi. Zda się, że ciepłem jakiemś miłem był przesycony — i to mi przyjemność sprawiało. Stałem chwilę, ogarniając bez celu wnętrze pustego w mrokach, dziwnego bardzo wagonu, kołysanego w ciszy jednostajnym rytmicznym ruchem, niosącego mnie razem z tą kobietą gdzieś — po co — nie wiem... Zda się wzrokiem w coś się wsłuchiwałem... Naraz dziewczynka śpiąca drgnęła, przeciągnęła się na posłaniu — i otworzyła oczy. Jak schwytany na gorącym uczynku myśli, tem szczerem spojrzeniem zawstydzony, szybko się odwróciłem i wyjrzałem przez okno.

Tam...

. . . .

Rzeczywistość piękna nowem jakiemś tchnieniem, jasnem i szczerem — odrazu mnie oświeżyła.

Na zachodzie z lewej strony — tam — hen — w dali od uciekającego pociągu, odbywało się w ciszy i majestacie wielkie dzieło przymierza ziemi ze słońcem — mysteryum dnia zachodzącego. Łuny i blaski biły od rozlanego daleko morza ognia i purpury, strzelając snopami promienistej zorzy Obłok szafirowy, jak skrzydło jakiegoś wielkiego opiekuńczego ducha ziemi chwiał się nad tą powodzią, najszczerszem złotem obramowany. Zachód w oczach się zmieniał, wielki, ruchomy, doniosły — jakby we wzruszeniu świętem ostatnim pacierzem ziemi szemrzący... Czerwień topniała: rozpływała się krwawiej, rzewniej, rzekłbyś, miłośniej... Już objęła daleki horyzont i wpłynęła za graniczne chmury. Złotolśniąca tarcza słońca, stary bóg świata, żegnał ziemię, jak zawsze, dostojnie, wszechpomnie, z wyrozumiałością wzruszonego majestatu pozwalając ludziom dobrej woli w twarz swą promienną niezmrużonem okiem spoglądać. Jakieś wielkie tchnienie ciszy i pokoju płynęło od tych stron dalekich, — błogosławieństwa w szeptach akt jakiś znamienny... Pola, łąki, równiny niosły go święcie, gorliwie — przy pomocy duchów skrzętnych, niewidzialnych, jakby porozumiewających się w ciszy ze sobą, i wszędzie, wszędzie nasiona zgody siejących...

A ta pociąg pędził, unosząc tysiące ludzi, krocie trosk i nadziei, cierpień i radości — pamięci i zapomnienia...

Czasami jakiś gwar lub śmiech głośny, urwany, przedarł się raptownie przez okna dalszych wagonów — i dziwnie odbił od tego obrazu, jakby obcy tej ziemi, choć z bliskiego gdzieś świata strącony...

Stałem tak chwilę wpatrzony, czując, jak z przeszłym stanem mej duszy nowa, tajemna siła natury dziwną, łagodną odbywa wymianę, wsiąkając blaskami i barwami różowemi w pierś, w umysł, w całą istotę, usuwając wszędy mroki i cienie — łagodnie, bez gwałtu, bez kary, nawet bez wyrzutu, jeno w imię jakiejś dobrotliwej sprawiedliwości, bezwzględnych przebaczeń i miłości. Niegodnym się prawie uczułem tej wielkiej łaski i dobroci — i szczęśliwy, i wzruszony, i na nowo do życia jasnego powołany.

cej: taki program uzyskał poklask władz i ludności niemieckiej. Ciekawe i charakterystyczne są uwagi w *Schl. Volks Ztng* z powodu tego wiecu. Mowa powitalna nadburmistrza w Poznaniu, p. Wittinga, wygłoszona na pierwszem posiedzeniu, „byłaby właściwsza na walnem zebraniu hakatystów lub związku wszechniemieckiego.“ Mówca ten między innemi powiedział, że zjazd prawników niemieckich stanowi nową epokę dla Poznania, że dla poparcia i rozwoju kultury niemieckiej trzeba powrócić do „tradycyj fryderycyańskich.“ Tradycye te wyrosły z faktu następującego: Fryderyk II wydał rozporządzenie, na którego mocy wszystkie urzędy, przynoszące więcej niż 300 talarów dochodu, wolno obsadzać „wyłącznie protestantami. Korespondent pisma powyższego, zaznaczając prześladowanie i uniemożliwienie zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, z obawy manifestacyj politycznych, jednocześnie podkreśla ten fakt, że na zjeździe prawników mówi się głośno i urzędownie o szerzeniu kultury niemieckiej na wschodzie, o sprowadzaniu niemieckich sił ludowych z zachodu w celu wyparcia polskości. „I my jesteśmy za szerzeniem kultury niemieckiej—zastrzega się korespondent — ale wiemy zarazem, że nie wolno nam w granicach rzeszy szkodzić i niszczyć ekonomicznie innych narodowości. Jeżeli takie mowy głosi się ze strony urzędowej, to należy usprawiedliwić różne protesty prasy polskiej. Nie trzeba się dziwić, że coraz częściej polscy włościanie i robotnicy nie rozumieją dobrze ani sędziego, ani prokuratora, lub w urzędniku sądowym widzą nie obrońcę sprawiedliwości, lecz tylko germanizatora i wroga Polaków.“

Tak organ niemiecki ocenia politykę nienawiści swych współplemieńców i ocenia ją sprawiedliwie. Rozumie bowiem dobrze, że tego rodzaju manifestacye i programy wzmacniają poczucie i oporność narodową w społeczeństwie polskiem, że zatem nietylko nie są dla nas groźne, lecz przeciwnie — zbawienne.

et.

LISTY Z PARYŻA.

Tragedya dziecięca: zamęczone dzieci. — Sprawa z ulicy Mazarine. — Zwierzęcość czy zwyrodnienie.

Oddawna już opinia publiczna nie zajęła się tak żywo dziatwą, jak w ostatnich tygodniach. Złożyły się na to rozmaite okoliczności. Upały sierpniowe, które przetrwały aż do połowy września, spowodowały wielką śmiertelność wśród niemowląt. Kilka spraw sądowych sprawiło także wrażenie. Tu ojciec zabija dwie córeczki, bo podejrzywa matkę o chęć zerwania z nim i zamieszkania z kim innym (nazwisko zabójcy Deblander); tam policya chwyta Włochów, sprowadzających dzieci do szklarni francuskich, owdzie dziewczyna dziesięcioletnia, Łucya Guyon, spada z okna, ponieważ obchodzenie się rodziców z nią było nieludzkiem. Nareszcie czwarta sprawa z ulicy Mazarine: „zamęczenie dziecka przez rodziców.

Nad tą warto zastanowić się, bo jest ona prawdziwie znamienną. Nie stanowi wypadku odosobnionego, przeciwnie, co miesiąc, co dwa wydarzają się podobne. I mają zazwyczaj charakter przerażająco wstrętny.

Jesteśmy w Morgue, przecisnęliśmy się przez tłumy, aż do szyby, za którą jest wystawione zamęczone dziecko. Wyschło jak szkielet, koszulka odsłania pierś bez mięśni niemal. Ramiona są nagie i od pach do rąk okryte sińcami albo— znakami po gorącem żelazie... Na nogach także ślady palenia i uderzeń. Biedactwo to liczy dwa lub trzy lata.

Taki widok przedstawił mi się w grudniu 1896 r., gdy poszedłem spojrzeć na ciało dziecięcia, które znaleziono wówczas konające na ulicy Vaneau. Nielitościwi rodzice, czy opiekunowie, zamiast zabić je odrazu, woleli głodzeniem i dręczeniem sprowadzać śmierć powolną. Potem, gdy dziecko dogasało, wynieśli je na daleką ulicę i złożyli w podsieniu. Było zaś ładne, miało czoło pogodne i oczy niebieskie i tylko skończone barbarzyństwo mogło pobudzić kogoś do pastwienia się nad niem.

Sprawców nie ujęto. Od tego czasu jednak to tu, to owdzie wydobywano na jaw podobne sprawy mniej albo więcej potworne. Nie wiem, jak liczne są one w innych stolicach i krajach, w każdym razie ilość ich we Francyi, której właśnie brak dzieci, jest przestraszającą.

Przebieg zbrodni z ulicy Mazarine był następujący:

Państwo Desjardins są młodzi, bo on liczy dwadzieścia sześć lat, ona dwadzieścia dziewięć. Mieli dwoje dzieci: córeczka umarła przed rokiem, syn kilka dni temu. W dzień śmierci komisarz policyi, Volet, otrzymał bezimienny list tej treści:

„Pod nr. 56 ulicy Mazarine umarł pięcioletni Jerzy Dejardins wskutek złego obejścia się i głodzenia przez rodziców od trzech lat. Samo obejrzenie ciała wykaże panu, jakich męczarni doznawał biedny chłopiec. Wszyscy sąsiedzi mogą dostarczyć bliższych danych.“

Volet zasięgnął rzeczywiście informacyj w kamienicy Desjardinsów, a gdy okazały się zgodnemi z treścią listu, przybył na oględziny ciała.

Na widok przedstawicieli władzy Desjardins pobladł.

— Gdzie jest ciało waszego dziecka? — zapytał Volet.

Z pewnem wahaniem się Desjardins w towarzystwie żony przeprowadził komisarza i lekarza do łóżka odrażająco brudnego. Na powalanych prześcieradłach, na poduszce okrytej niezliczoną ilością plam leżało wpół odziane ciało chłopczyka. Głowa była nabrzmiała i okryta sińcami, całe ciało niebieskie od razów. Robactwo pełzało po niem.“

Nawet po śmierci syn nie zasłużył na względy.

Pani Desjardins przyznała, że kilka znaków na ciele pochodziło z uderzeń, któremi poczęstowała dziecko przed czterema dniami. Prawda, że żadne nie mogło zadać bezpośrednio śmierci, ale do spółki z systemem głodzenia, którego skuteczność przemawiała z wychudłego ciała, ułatwiały lada chorobie zwycięztwo.

Volet dostatecznie przekonany, że ma do czynienia z systematycznem dręczeniem dziecka, oddał sprawę sądowi. Śledztwo wykazało ohydną nieczność rodziców.

Męczeństwo Jerzyka zaczęło się od niemowlęctwa. Już wtedy bito go i zostawiano na cały dzień bez pokarmu i napoju. Potem, gdy podrósł, metoda ta weszła w prawidłowe użycie. Karcono go pięścią i kopano nogami, aby zaś nie krzyczał,

---

Jakaś fala oczyszczona skruchy rzewnej i prostej — szczera, najszczersza — podpływała mi z serca wyżej i wyżej, aż oczom jakby rosami świeżemi się udzieliła. Przez te rosy jeszcze rzewniej zachód mi się mienił... W piersi powstały drżenia czy łkania powstrzymywane, któremi duch mój, od blasków różowy, szczęście i odrodzenie swe najdziękczynniej sprawował. Byłem cichy i prosty, wdzięczny i ukojony, bez szemrania wielkiej jakiejś woli życia podległy.

Osunąłem się na dawno swe miejsce i spojrzałem przed siebie. Towarzyszki moje spały cicho, spokojnie. Półmrok snuł się, jak dawniej, — lecz już nie byłem samotny. Bo oto uczułem w tej kobiecie obcej, przygodnie spotkanej, tym szlakiem jadącej, pokrewieństwo mocne, niewzruszone — z koła jednej wielkiej rodziny ludzkiej, złączonej potężną spójnią dusz bliźnich, jednakie brzemię życia i tęsknot niosących, jednej ziemi na krótki przeciąg czasu oddanych, jednem jej tchnieniem karmionych,— pokrewieństwo, silniejsze nad miłość i uczucia, prochom i krótkiej chwili istnienia podległe, bo z ducha wyłącznie, co nie ma końca, płynące, z wyzwoleń i oczyszczeń, u krynic wieczności czerpanych...

Patrzyłem na nią temi samemi oczyma, lecz jakże innym wzrokiem! z jakiem zaparciem się własnej pamięci! Jakże radośnie mi było, że nad śpiącą i niewiedzącą mogę opiekę ducha i myśli roztoczyć — i może coś z tej zorzy dla szczęścia jej w niewidzialnem zaszczepić... Znajdowałem się blizko niej wszystką duszą, dla której niema przestrzeni, wszystkiem czuciem, dla którego nie ma wyrazu, wszystką władzą i przeniknieniem jasnem, rozumnem, — a ze skupionej głębi wysyłanych ku niej ciągle nowych pragnień i wzruszeń serdecznych płynąca modlitwa jakaś — gorąca, płomienna:

Ktokolwiekbądź jesteś i dokądbądź jedziesz, niech szczęście, i spokój, i cisza będzie twoim udziałem.

Niech dom twój — i rodzinę — i blizkich omija trwoga i popłoch życia, czarnem skrzydłem do mieszkań ludzkich bijąca.

Niech córka twoja wzrasta w świetle prawdy i cnót poświęconych, jasność tylko i otuchę domowego ogniska budząca.

Niech wszystkie dni życia twego przechodzą, jako grono służebnic ukwieconych, pamięci twojej wzruszonej pion najbogatszy niosących.

Chowaj i umacniaj w sobie ducha pragnień wzniosłych, szlachetnych, ziemi i szczęściu ludzkiemu pożytecznych.

Niech ta gorąca wiara moja i pragnienie chwilą obecną odwróci w świecie ważących się losów ludzkich wszelką grozę, dla ciebie sądzoną, by przeszła, jako burza, gromami daleka, sennemu marzeniu twemu nawet w odgłosach nieobecna...

I bądź mi pozdrowioną w wielkiem kole braterstwa dla chwili, w której — wędrowiec życia — światło i drogi prawdziwe przez próby odnajduję.

. . . .

Pociąg się zatrzymał. Rześki wyskoczyłem z wagonu i szybko zniknąłem w tłumie. A kiedym przez wieś jeszcze powracał pod blaski ostatniej czerwieni zachodu, pozdrawiany przez prostych ludzi z pod strzech słomianych, z pokorą najlichszego sługi uchyliłem czoło przed starym krzyżem przydrożnym—jakże dumny i szczęśliwy zarazem, że mi wolno to szczerem sercem uczynić — w przeświadczeniu, żem dnia tego grzech życia i pamięci choć w części drobnej pięknem natchnieniem odkupił.

Józef Jankowski.

zatykano mu ręką usta. Matka z prawdziwą rozkoszą dręczyła dziecko: rano o dziewiątej kazała mu przynosić sobie czekoladę; na pytanie, dla kogo? nauczyła go odpowiadać: „dla mamy.“ Następnie wypijała ją i pobudziwszy syna widokiem śniadania, zostawiała go na cały dzień o głodzie. „Zabawną“ tę komedyę powtarzała kilka razy na tydzień.

Sąsiedzi z okien naprzeciw widzieli, jak chłopczyk na czworakach zbierał z ziemi okruchy obiadu rodziców. Cierpiał szczególnie wskutek pragnienia. Matka zamykała na klucz kuchnię, gdzie był wodociąg i wychodziła. Ilekroć rodzice wysyłali go na dół, prosił stróżkę o odrobinę wody. Dobra kobieta dawała mu wtody także coś zjeść, ale chłopczyk zawsze prosił, aby nie zdradziła się przed ojcem. „Biłby mię znowu“ — dodawał ze drżeniem.

Nareszcie zamieszkały w tym domu strażnik z ogrodu Tuileryjskiego, Dardo, doniósł o tem policyi. Komisarz wezwał ojca i ograniczył się surowem upomnieniem.

Postępowanie rodziców zmieniło się. Nie bili chłopca przy otwartem oknie, lecz zamykali go przy katowaniu. Dziecko, raczone w domu najgorszemi przezwiskami, na ulicy zwało się „kochanem.“ Przedtem żalono się na rodziców, że zamykają syna w ciemnym pokoju. Teraz kazali mu wychodzić na balkon i maszerować po nim, śpiewając. Gdy zaś odbył tę przechadzkę, zamykano okienice i bito go znowu. Ojciec co wieczór „zabierał się do syna.“ Znał już miejsca dobre — jak się wyrażał: na trupie części płciowe znaleziono okryte w całości sińcami.

W trzy dni przed śmiercią Jerzyk posłany znowu po coś, przyjął od stróżki szklankę wody. Gdy wrócił, matka rzuciła się i pastwiła nad nim z niesłychaną brutalnością. Pamiątki tej właśnie chwili widzieli komisarz i lekarz.

Opowiedziałem dłużej ten fakt, bo jest bardzo typowym. W ostatnich tygodniach tylko zebrałem pół tuzina pokrewnych. W Nancy kobieta Grimont powierzone sobie czteroletnie dziecko zanurzała zimą w cebr zamarzłej wody, kazała mu jeść swój kał i przywiązywała je tak mocno do nogi łóżka, że sznury wgryzały się w ciało. W Auxerre Martinowie, chcąc pozbyć się swej trzeciej córeczki, trzymali ją całymi dniami w wychodku. W Grenoble garbarz Dailly został skazany na trzy miesiące więzienia za znęcanie się nad dziewięcioletnim pasierbem. Zresztą te wypadki pastwienia się ojczymów i macoch są powszednie.

Jakie przyczyny tego objawu? Trudno powiedzieć, że nędza, bo większość zwyrodniałych rodziców jest średnio zamożną. Desjardinsowie (on jest agentem handlowym) i Martinowie (mąż—kasyer) naprzykład, nie należeli do proletaryatu. Pijaństwo czasami, ale niezbyt często. Sądzę, że jest to raczej zwyrodnienie, trawiące klasę średnią na niższych nawet jej stopniach.

Zwyrodnienie, a nie dzikość pierwotna. Bo człowiek nieokrzesany, gwałtowny, zabiłby to dziecko odrazu, bez namysłu i wyrafinowania, albo biłby je po pijanemu, czy też w przystępie gniewu. Ci zaś stopniowo i metodycznie zmierzali do swego celu. Nie chcąc z powodu dzieci ograniczać się w potrzebach, radziby te niepożądane zawady usunąć. Ale że boją się gilotyny, odrzucają czyn nagły. I są to ludzie, którzy czytają książki, chodzą w lepszych ubraniach i żądają, aby do nich mówiono „pan“ i „pani.“ Słowem nieglodna hołota!

Podobne wypadki wywołują oburzenie, ale— ponawiają się. Ażeby je usunąć, należałoby może wziąć do rąk lancet chirurga.

Jak w wielu razach, tak tu, zamiast uchwał i praw, więcej może zrobić inicyatywa osobista. Istotnie też działa z wielkim pożytkiem „Związek francuski dla ratowania dziatwy.“ Wdowa po Juliuszu Simonie jest jego przewodniczącą, gorącym rzecznikiem Franciszek Coppée. Związek ten dąży do ratowania dzieci dręczonych albo też zagrożonych moralnie. Tu zostają po matce trzy siostry, ojciec pije i nie dba o nie. Towarzystwo za jego zgodą zabiera je, mieści w przytułku; dziś są to dzieci wzorowe. Tam znęca się macocha lub matka, która zawarła nowe śluby. Znowu ocala je czynny Związek. Gdzieindziej rodzice posyłają dzieci żebrać. Więc odbiera się je i umieszcza. Do dziś zajmował się ogółem czterema tysiącami dziatwy, ocalił zaś 1,600.

Jeden z przepisów w jego ustawie zasługuje na szczególne uwzględnienie. Chce on załatwiać wszystkie sprawy głównie drogą pokojową. W wyjątkowych tylko wypadkach pragnąłby zwracać się do władz. Wskutek tego każdy, kto doniesie mu o nadużyciach, nie oddaje jeszcze sprawy sądom, ani policyi. Związek wysyła swoich delegatów i ci rzecz układają. Uwiadomienie przeto związku i uwiadomienie władz nie jest tem samem, a zauważono kilkakrotnie, że jeżeli niektóre pastwienia się trwały bezkarnie, to dlatego, że sąsiedzi wzdrygali się przed bezimiennymi listami, a podpisane mogły ich narazić.

Pożyteczną byłaby jednak statystyczna praca, dokonana przez Związek i wyłuszczająca szczegółowo pobudki dręczeń dziatwy. Możnaby wtedy wiedzieć, ile wypadków należy zapisać na karb zbyt małego rozwoju umysłowego i moralnego warstw niższych, ile zaś włączyć do patologicznej grupy zwyrodnienia.

B.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Ignacy Prądzyński: *Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831.* Petersburg, 1898.

II.

Ponieważ walka trwała stosunkowo długo i ze strony Polaków prowadzoną była — jak to Prądzyński stwierdza do spółki z gen. Puzyrewskim i innymi historykami r. 1831-go — z wielką energią i zapałem, szczególnie w pierwszej połowie kampanii, pamiętnikarz przeto usiłuje zapobiedz wątpliwościom rodzącym się z zestawienia ogromnego skutku z maleńką przyczyną. Powtarza, że „zarodków rozjątrzenia“ nie brakło na przestrzeni „między Kaliszem, Wilnem i Krzemieńcem...“ Pierwotną ruchawkę wzmocnił niebawem napływ zelatorów i propagatorów niepodległości z Galicyi i Ks. Poznańskiego. Wreszcie „bieg wypadków rozentuzyazmował serca; wówczas już niepodobna było wystąpić z propozycyą zupełnego, bezwarunkowego ukorzenia się, a z drugiej strony cesarz nie mógł w żaden sposób, bez uchybienia godności swego tronu, wchodzić w rokowania z ludźmi, którzy w jego oczach byli tylko buntownikami.“

Zresztą w łatwo zapalnym i do uniesień skorym temperamencie Polaków tkwił zawsze spory zasób niespodzianek, sprzeczności, „odruchów nieświadomych.“ Weźmy np. sejm 1831 r. Składał się on — według Prądzyńskiego — z ludzi umiarkowanych i „poważanych w swem życiu prywatnem.“ Jakimże sposobem to się stało, że zebranie ludzi umiarkowanych postąpiło sobie w kilku wypadkach tak, iż nawet jego członkowie ganili i potępiali następnie to, do czego sami rękę przyłożyli? — Do czynów tej kategoryi autor w pierwszym rzędzie zalicza rozgłośny a pamiętny akt 25 stycznia. „Nie mogę pominąć milczeniem — pisze pamiętnikarz — ogłaszającego tron za wakujący, aktu prawdziwego szaleństwa. Ani dyskutowano nad nim, ani głosowano. Zaproponowany przez jednego posła, poparty przez drugiego, został przyjęty oklaskami przez zapaleńców, którzy zajęli galerye, milczenie zaś reszty posłów wytłomaczono jako ich zgodę... W taki sposób zdobyto ową nieszczęsną uchwałę, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich...“

„Towarzystwo patryotyczne oraz kilka pisemek peryodycznych urządzało manifestacye głośne, które nam wyrządzały wiele szkody. Naród jednak wyparł się solidarności z zapaleńcami. Zresztą i oni mieli tylko tyle znaczenia, o ile im na to pozwalała słabość władzy; wszakże i samo to znaczenie było tak małe, że ja, choć nie odznaczam się szczególną mocą charakteru, dobijałem się kilka razy o stanowisko gubernatora Warszawy (miasto było w stanie oblężenia) — tylko na jeden tydzień, i wówczas czułbym się na siłach rozwiązać towarzystwo patryotyczne i znieść wolność prasy, która niekrępowana żadnemi prawami ograniczającemi, zwyrodniała wśród tej wielkiej swobody.“ Natomiast zaznaczyć wypada, że więcej chłodnej logiki utylitaryzmu, niż gorącego poczucia obrażonej moralności przebija się z tego oto ustępu pamiętnika: „Szaleństwo rewolucyi pozbawiło nas kilku generałów, którzy mogli przynieść największy pożytek sprawie. Trębicki, Blummer, Siemiątkowski padli ofiarą mordu, Kurnatowskiego odtrącono, a Wincentemu Krasińskiemu, człowiekowi odznaczającemu się i zdolnościami i męztwem, gdy ofiarował swe usługi rewolucyi, stwierdzając przysięgą swą szczerość, odpowiedziano groźbą stryczka.“

O wojsku polskiem, które w ciągu opowiadania dokazuje prawdziwych cudów waleczności, Prądzyński wyraża się śmiało, z kompetencyą nieulegającą zapewne zachwianiu: „W epoce rewolucyi wojsko nasze było doskonale przygotowane do parad, ale nie do wojny. Jego entuzyazm na czas krótki mógł zastąpić brak karności, ale nie na długo. Entuzyazm równie szybko znika, jak powstaje, pierwsze niepowodzenie go zabija; karności wrodzonej geniuszowi narodowemu i wzmocnionej przez czas oraz przez instytucye tradycyjne — karności takiej, jaka panowała w wojsku rosyjskiem, jaką się również odznaczali Rzymianie, nie osłabiają ani zwycięztwa, ani porażki...“ Korpus litewski Prądzyński naturalnie zalicza do komputu wojsk rosyjskich — nie odrodził się on od armii polskiej jedynie dlatego, że „podlegał temu samemu zwierzchnictwu, co i armia polska.“

Niemniej pesymistycznie zapatruje się autor na stan urządzeń i służby cywilnej przy wojsku polskiem. Magazyny z żywnością dla ludzi i koni pozakładano w miejscowościach źle dobranych. Dostawy odbywały się wolno i nieregularnie. Wojsko nie posiadało wcale wozów, ani ambulansów. Rewolucya, dzięki zabiegom i operacyom księcia Lubeckiego, zastała wprawdzie znaczne środki do prowadzenia wojny, ale szafowano tymi środkami co najmniej nieoględnie: „zamiast oszczędności, zapanowała tu rozrzutność, a nie brakło zapewne i malwersacyj, przez co sumy nagromadzone znikły tak szybko, że zdawało się, jak gdyby wszyscy starali się przyspieszyć w ten sposób rozwiązanie tej tragedyi...“

Oczywiście tragedya — jako taka—mogła mieć wyłącznie tło ponure. Sama jednak akcya — zgodzić się na to musi najzawziętszy i najbardziej uparty przeciwnik — wygląda w opisach Prądzyńskiego tak barwnie, tak świetnie niekiedy, że mimowoli szukamy w naczelnych założeniach Prądzyńskiego czegoś takiego, coby tę dysproporcyę czy też dysharmonię usunąć pozwoliło. Generał Puzyrewski twierdzi, że w opowiadaniu Prądzyńskiego „cały obraz otrzymał nieprawidłowe oświetlenie dlatego, że pomyślne dla Polaków bitwy opisuje on szczegółowo, niepomyślne zaś — pobieżnie." Bardzo to być może; konfrontacya wszakże całego szeregu potyczek lub bitew pod Stoczkiem, Nową Wsią, Puławami, Dobrem, Kałuszynem, Miłosną, Grochowem, Wawrem, Dębem Wielkiem, Iganiami, Beremlem, Mińskiem, Lubartowem, Długosiodłem, Rudkami, Nurem, Ostrołęką — nie jest wcale lekką, a wątpić należy, czy po za obrębem ciasnego koła wtajemniczonych w arkana taktyki i strategii byłaby dostępną i zajmującą.

J. T. Hodi.

LITERATURA I SZTUKA.

Gerhard Hauptmann.

P. Schlenther: *Gerhart Hauptmann. Sein Lebensgang und seine Dichtung.* Berlin, 1898. — Józef Flach: *Gerhard Hauptmann jako pisarz dramatyczny.* Kraków, 1898.

Mam przed sobą dwie książki o autorze „Tkaczów," dwie książki — dwa światy pojęć i uczuć, dwie różne metody krytyki literackiej. Podwójnie są też zajmujące, tak ze względu na „przedmiot" swoich studyów, jak i na szkoły, które reprezentują.

Polski autor jest debiutantem w literaturze. „Świadomi jesteśmy błędów"—pisze on — lat uniwersyteckich nie żegna się znakomitem dziełem. Rzecz niniejsza wypłynęła z trzech źródeł: z zawodowych studyów nad literaturą niemiecką, z gorącego zamiłowania dramatu i teatru, wreszcie z wrodzonej chęci prostowania fałszywych, wyjaśniania wątpliwych, pogłębiania powierzchownych sądów." Źródła te— przyznajemy — są szczere, choć tryskają czasem mętnie, a co gorsza— ze szmerem słabym, jednostajnym, nudnym. Autor postanowił pisać tendencyjnie i polemicznie. Zdaniem jego „w czasach, kiedy literatura... kostnieje, krytyk winien wskazać jej szkodliwość takiego braku ruchu... winien ująć ją za rękę, otworzyć jej nowe horyzonty. Na odwrót w epokach nadmiernego i przyspieszonego rozwoju... winien wstrzymać biegnącego, ostrzedz go przed grożącemi mu niebezpieczeństwami, pouczyć go, jak ma iść, w co się zaopatrzyć..." Pojęcie to więc czysto profesorskie. Podług niego — krytyk to taki pan, wyższy nietylko ponad tłum czytelników, lecz i twórców, któremu przyroda powierzyła wszystkie tajemnice, a szczególnie tempo swojego rozwoju; stoi on więc, jako maszynista przy lokomotywie, reguluje jej bieg, „jeżeli nie chce i sam złamać karku i drugim szkody narobić." Jest to istota doskonała, artyści powinni u niego uczyć się, co to jest piękno, aby było oczywiście „zdrowem," co to jest dobro, aby było oczywiście „swojskiem," co to jest prawda, aby była oczywiście „umiarkowaną." Czytelnicy zaś — to tłuszcza, która ma słuchać i milczeć. Organizując świat umysłowy, Bóg stworzył naprzód krytyków, zaopatrzywszy ich w nieomylność, potem — artystów, ludzi ułomnych i słabych, nareszcie publiczność — ludzi wogóle bez sądu i dążeń. W świątyni sztuki krytyk jest arcykapłanem, artysta kapłanem drugiej klasy, a ofiarą — najpewniej sztuka, palona na ołtarzu bóstwa nieznanej doskonałości.

P. Flach opuścił uniwersytet z niemałem — jak widzimy — wyobrażeniem o swem posłannictwie. To też z niebotycznej tej wyżyny wydaje wyroki, skazuje na śmierć, przyznaje nieśmiertelność. Możnaby wprawdzie zapytać, jakie zna przykłady z historyi literatury lub sztuki, kiedy artyzm tworzyli lub regulowali.. krytycy? A gdzie widział ową glinę, z której oni są ulepieni, glinę bez skazy i cienia, cudotwórczą? Jakiem prawem krytyk miałby nakładać duchowi twórczemu i publicznemu pęta w imię swojej doktryny i ograniczać w ten sposób najważniejszy, życiodajny warunek wszelkiej sztuki: szczerość? Pytania to są jednak zbyteczne, gdyż zbyteczną jest cała metoda krytyczna p. Flacha, dobra jeszcze w klasie wobec uczniów — na publiczność inteligentną działa poprostu jako obraza. Rozumiemy krytyka-erudytę, filologa, estetę, albo wprost herolda partyi, ale nie ową sztuczną wagę sprawiedliwości i dobrego smaku, opatentowaną w dodatku tylko świadectwem uniwersyteckiem.

Nie będę przeto zatrzymywał się dłużej nad sądami p. Flacha, które nikogo chyba nie interesują. Jako wychowaniec wszechnicy krakowskiej, korzysta oczywiście z każdej sposobności, aby ścinać łby hydrze różnych *izmów*, a ponieważ Gerhard Hauptman jest mocno przesiąknięty wszystkimi tymi grzechami śmiertelnymi, więc dostaje też porządne cięgi. Rozgrzesza go tylko niezaprzeczony talent, albo czasem cnota, której *notabene* nie posiada. Tak np. zdziwiłby się Hauptmann mocno, gdyby się dowiedział, że p. Flach przypisuje mu w „Einsame Menschen" „wskazanie nie religijności, jako źródła złego, a wiary, jako dźwigni naprawy." Ten i tym podobne ustępy świadczą, że nasz krytyk nie zawsze rozumie, co czyta.

Z innem uczuciem poznajemy książkę Schlenthera. Autor nas uprzedza, że „nie chce sądzić, lecz charakteryzować." I tak jest najlepiej. Szczególnie stojąc przed żywym człowiekiem a nie zbiorem aktów, pisząc zarys biograficzno-estetyczny, a nie dzieło naukowe, poszukujące praw, przemawiając do publiczności europejskiej, a nie do niedojrzałych uczniów — pisarz na innem stanowisku stawać nie może. Jest on także tylko jednym z wielu, który więcej trochę czytał, silniej może odczuwa, i władając dobrze formą, dzieli się wrażeniami z publicznością. Bez trójnoga, bez pretensyi, bez dogmatów. Chcecie państwo wysłuchać? — Jeżeli będziesz opowiadał o rzeczach zajmujących w sposób przyjemny. Sąd sami sobie wyrobimy, jesteśmy ludźmi dojrzałymi.

I Schlenther opowiada. Rozumie się, że jest subjektywnym—czyż innym być można? Jako zwolennik „nowej szkoły," nie ukrywa swego entuzyazmu dla niej, czyni to jednak bez tonu dydaktycznego, bez wmawiania w nas objektywizmu, bez pretensyi do dogmatycznego rozstrzygania o wszystkich możliwych kwestyach, a przedewszystkiem — kierując się wyłącznie względami estetycznymi. Sądzi dzieło nie ze stanowiska religijności, socyalizmu, naturalizmu itd., tylko o ile oddaje ono głąb duszy ludzkiej, o ile jaśnieje blaskami poezyi, o ile uderza skrzydłem w nieskończoność. Schlenther jest obecnie — jak wiadomo — dyrektorem nadwornego teatru w Wiedniu i samo to stanowisko chroni go już przed zarzutem zbytniego fanatyzmu i tendencyjności. Ale bo też ona w sztuce najmniej ma uzasadnienia, bo do sztuki więcej niż do czego innego trzeba odnosić słowa: „w domu mego ojca niebieskiego jest dużo mieszkań." I krytykiem estetycznym będzie tylko ten, kto te wszystkie komnaty zna, wszystkie ich style i właściwości, wszystkie ich piękności zrozumie i artystycznie wyrazić potrafi. Jeżeli zaś ucieka przed widmem naturalizmu, religii itd. — będzie mniej lub więcej odważnym społecznikiem, ale nigdy estetą.

Specyalnie dla biografa Hauptmanna mają wielkie znaczenie pierwsze rozdziały książki Schlenthera, w których opowiada o stosunkach rodzinnych, dzieciństwie i pierwszych pracach swojego bohatera. Podany tu po raz pierwszy bardzo bogaty materyał faktyczny, wzięty z pierwszej ręki, gdyż Schlenther żyje z Hauptmannem w ścisłej przyjaźni. W tych rozdziałach przebija się zarazem cały takt i kunszt pisarski krytyka; trudno bo było znaleźć ton odpowiedni w opowiadaniu o bardzo „nizkiem" pochodzeniu autora „Tkaczów" i bogatym jego ożenku, o lichej karyerze szkolnej i bardzo nieudatnych pracach początkowych. Schlenther postępuje przytem jak prawdziwy światowiec: opowiada lekko, trochę z humorem, robi pauzy, nie zapomina przytem ani na chwilę o głównym swym celu, o Gerhardzie Hauptmannie, którego indywidualność wydobywa — jak rzeźbiarz z bloku swą figurę — z masy nagromadzonych danych o wpływie dziedziczności, otoczeniu dzieciństwa, studyów szkolnych i ciężkiego pasowania się z sobą samym.

Ta część książki jest też kopalnią psychologiczną. Przyszły piewca roboczego ludu szląskiego narodził się w Obersalzbrunn, małej miejscowości kąpielowej, gdzie ojciec miał piękny hotel. Matka Gerharda pochodziła z rodziny chłopskiej, która z biegiem czasu stała się u hrabiostwa oficyalistami i zaufanymi sługami. Zdrowa więc krew ludowa, w kilku generacyach poddana wyższej kulturze obok osób inteligentnych, subtelniejszych— oto grunt natury autora „Einsame Menschen." Do nauki szkolnej nigdy nie okazał zamiłowania i zdolności, ani w szkółce wiejskiej, ani w pensyonatach wrocławskich. Kres temu dobremu wychowaniu położyły prędko stosunki majątkowe ojca coraz gorsze; doszło do tego, że gdy Gerhard miał lat 15, opuścił szkolne ławy na zawsze i poszedł do stryja, który dzierżawił kilka wiosek. Był to dom o całkiem nowej atmosferze, przesiąknięty religijnością prawdziwie protestancką, pastorami, muzyką i pieśnią pobożną. Starzy Boesteratowie z „Samotnych," duch ewangeliczny z „Hanusi," mają swoje wzory w tym domu.

Po trzyletnim tam pobycie następuje epoka burz i wrzenia. Młodzieniec czuł, że przyszłość jego należy do artyzmu, odczuli to także starsi, inteligentni bracia, powołanie było — ale na razie bez wyboru. Wstąpił więc naprzód do szkoły rzeźbiarskiej, ale i tu długo miejsca nie zagrzał. Lepił figury, jeszcze częściej brał pióro do ręki. Widzimy go w Jenie, jako wolnego słuchacza wykładów Haeckla, w Hamburgu, gdzie rodzinę bogatego kupca Thienemanna, którego córkę starszy brat właśnie zaślubił, w podróży okrętem po kilku wielkich zachodnich i południowych miastach portowych, nareszcie w Rzymie — w własnej pracowni rzeźbiarskiej. Z pod pióra tryskają przytem ciągle wiersze liryczne, dość często pod adresem drugiej córki owego bogatego patryarchy hamburskiego — wkrótce żony młodego adepta sztuki. Miał wówczas lat 22. Schlenther z sympatyą i czcią wspomina młodą jego żonę o przepysznych czarnych oczach i duszy melancholijnej a silnej, pełnej wiary w geniusz męża, wytrwałości, no, i środków materyalnych, potrzebnych do długiego wyczekiwania na powodzenie.

Liczne prace z tego okresu w druku, a właściwie w handlu księgarskim, nigdy się nie pojawiły. Schlenther wymienia jako najważniejsze: dramat „Koniec Tyberyusza,“ który zapewne nieczytany otrzymywał autor napowrót od wszystkich dyrekcyj teatralnych; epopeję „Promethidenlos,“ którą autor sam prędko wycofał z handlu księgarskiego i cały nakład zniszczył; nowelkę jakąś, odrzuconą w r. 1888 przez kilka redakcyj i zbiór poezyj p. t. „Pstra książka,“ który— złożony całkiem w drukarni — nie został odbity z powodu bankructwa nakładcy; ocalały tylko arkusze korekty. Dziwne te *fata* pierwszych książek Hauptmanna świadczą o jednem: o jego sumieniu poetyckiem. Długo szukał formy, stąpał po różnych drogach, zanim siebie znalazł; nie palił się, jak każdy początkujący, do rzutu, był dla siebie sędzią surowym, kierował się tylko popędem twórczym. Ten sam rys odnajdziemy w całej jego karyerze dramatycznej: z dramatu społecznego przerzuca się w sferę walk czysto psychicznych, formy naturalistycznej — w symbolikę i poezyę, nie daje się skusić olbrzymiem powodzeniem „Tkaczów“ i tworzy po nich komedye dla przeciętnej publiczności niezrozumiałe — zawsze wierny sobie, tylko swemu instynktowi twórczemu. Co prawda, nacisku z zewnątrz w poszukiwaniu potrzeby zarabiania na chleb, nigdy nie odczuwał. Pisał więc tylko, co mu nastrój dyktował, a wyjątki z pierwszych nieznanych prac, tak z „Losu Prometeidów,“ jak i „Poezyj“ świadczą o ciężkiej walce z formą, następnie o wzroku marzycielsko w głąb duszy skierowanym, o duszy pasującej się poważnie z dramatami wszech myśli, wsłuchanej równocześnie z współczuciem i zrozumieniem w tajnie życia przyrody. Dopiero z końcem r. 1888 pod wpływem Arna Holza, Jana Schlafa i innych apostołów młodocianego wówczas naturalizmu berlińskiego znalazł Hauptmann wyraz dla swoich popędów twórczych i napisał dramat „Przed wschodem słońca.“

Dalsze jego koleje — to znany powszechnie szereg dzieł. To, co Schlenther o nich mówi, nie uderza nowością, ani głębokością. Rzeczy takie, jak „Hanusia“ lub „Dzwon zatopiony“ są pojęte bardzo nawet płytko.

W. Feldman.

BEREZYNA.

Ludzie wielcy — to światła promieniste, olśniewające przedewszystkiem wyobraźnię artystów. Nic to nie znaczy, że badacze ściśli, szperacze sumienni ściągają ich z piedestałów w niziny ziemskie; nic to nie znaczy, że historycy współcześni, z wyjątkiem nielicznych czcicieli bohaterów — półbogów w rodzaju Carlyle'a, odmawiają przodującego znaczenia ich rolom dziejowym; czy oni epoki tworzyli, czy też ich wydawały na świat epoki, czy oni wiedli za sobą ludzkość, czy też ona jakąś siłą żywiołową wypierała ich ze środka swego na czoło — magnetyzują czarem i urokiem swego imienia od wieków każdego poetę, każdego artystę. Chyba trzy czwarte dzieł sztuki wszelkich czasów składa się na jeden różnobarwny a harmonijny hymn dla nich, hymn podziwu i uwielbienia. Bo i cóż, że astronomowie i fizycy oddawna rozłożyli nam słońce na jego części składowe, wskazali jego ruchy, objaśnili przyczyny jego światła; dotąd z zachwytem zwracamy ku niemu oczy, dotąd w głębi duszy pozostajemy wszyscy sabeistami. Życie wielkiego człowieka — to szereg obrazów, zdumiewających rozmiarami i bogactwem treści, olśniewających kolorytem, oślepiających blaskami i przepychem dekoracyj. Cóż więc dziwnego, że nęci ono spragnione wspaniałych widoków, odwracające się ze wstrętem od szarzyzny codziennej oko marzyciela — poety?

A śród tych olbrzymów jest jeden, do którego może najczęściej kierowała się natchniona myśl, który nad światem przeleciał, jak cudowny meteor, topiący narody w pożarze łun, w purpurze ognia, w sinych chmurach dymów, w szkarłatnem morzu krwi. Ten pogańską wielkością tchnący „bóg wojny, otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,“ co to „wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych, od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych, ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor, w Marengo, w Ulm, w Austerlitz,“ ten jak go się nie wahano nazywać, nowy „potwór apokaliptyczny“ rozpalał oddawna twórczą, wrażliwą na wszelkie „au delà de la raison“ fantazyę artystów. David, Mickiewicz, Meissonnier i tylu innych, których imion pamięć zatrzymać nie zdoła, poświęciło mu swe myśli, natchnienia, pędzle, pióra i dłuta. On sam, swoją jedną osobą mógłby zapełnić muzea całe i biblioteki.

A jednak i on nie uniknął analizującego skalpela historyi. Filozof z Jasnej Polany zrobił zeń prowincyonalnego aktora, marnie grającego rolę potężnego władcy i wodza. Krytyka naukowa z Tainem na czele uczyniła zeń idealnego samoluba o nieokiełznanej, chorobliwej ambicyi, potomka włoskich kondotierów, zuchwałego korsykańskiego bandytę, niepohamowanego w słowach i czynach. Był już nawet czas, kiedy się zdawało, że blask, bijący od epopei napoleońskiej, powoli poczyna gasnąć, że urok jej zbladł, że zaczęto o niej zapominać. Lecz oto w chwili obecnej, dobie małych dążeń, nizkich pragnień, nikczemnych czynów, w dobie brudów, zgnilizny moralnej i drobnych codziennych gwałtów, wyłoniło się to krwawe światło z pomroki dziejów, i charłackie plemię karłów znów schyliło głowę przed powstającym z grobu tytanem. Zaczął się ten ruch we Francyi, a stamtąd rozszedł się wszędzie.

Ta zmartwychwstała epopea natchnęła grono artystów naszych do stworzenia bądź co bądź nietuzinkowego dzieła sztuki. Jako temat obrano ten moment dziejowy, kiedy sława „małego kaprala,“ opaliwszy sobie skrzydła w pożarze Moskwy, zmroziwszy loty na śnieżnych równinach Rosyi, otuliła się chmurą śród lodów Berezyny, chmurą, w której miała się ostatecznie rozpłynąć na polach Waterloo.

Czy chwila ta jest odpowiednia, aby ją w obrazie panoramicznym utrwalono? Zdaje się, że — nie. Efekt, wywołany przez panoramę, musi polegać na jednolitości i równomierności wrażeń. Stoimy tu zawsze *pośrodku* pewnego obrazu. Jeśli ma on czynić złudzenie jakiejś zamkniętej w sobie całości, wszystkie części jego powinny wywierać możliwie jednakowe pod względem siły i napięcia wrażenie. Gdy więc mamy do czynienia z krajobrazem, każda jego strona winna być piękną, posiadać czar i urok taki, aby go zatrzeć nie mogły części sąsiednie; jeśli treścią jest jakaś scena, powinna ona rozegrywać się bez żadnych przerw i luk dookoła widza. Inaczej — zamiast panoramy, widzieć będziemy cały szereg oderwanych obrazów, poszczególnie biorąc może nawet pięknych, lecz nieskładających się na żadną określoną, niepodzielną całość. Otóż „Berezyna“ przez samą treść swoją nie może być „panoramiczną.“

Są w niej dwie chwile, dwa momenty, w których tragizm wypadków doszedł do punktu kulminacyjnego: to z jednej strony przeprawa niedobitków wielkiej armii przez dwa licho sklecone, co krok walące się mosty nad Studzianką, z drugiej — palenie chwałą okrytych sztandarów wobec cesarza i generalicyi. Te dwie sceny połączyli artyści z jednego boku — dość ściśle — rozwijającą się kolumną wojsk, zbiegów i maruderów, z drugiego — zupełnie luźnie — krajobrazem zimowym, na którego śnieżnem tle rozrzucili w dalekich od siebie odstępach oddzielne grupy i scenki. Ten pejzaż, piękny sam w sobie, tworzy w panoramie lukę, przerwę, pozwala widzowi niemal zapomnieć o reszcie, gdyż istnieje zupełnie samoistnie i niezależnie od Berezyny.

Dwa wyżej zaznaczone momenty też nie są bynajmniej równoważne pod względem napięcia wywoływanego przez nie wrażenia. W paleniu sztandarów bowiem niema tego tragizmu zewnętrznego, uderzającego wzrok, tj. jedynego, jaki panorama odtworzyć jest w stanie. Tkwi w niem natomiast wewnętrzny, psychologiczny, który mógłby oddać tylko zwykły, pojedynczy obraz, podkreślający każdy drobny a charakterystyczny rys działających postaci, każdy skurcz twarzy, każdy choćby nieznaczny ruch głowy, ręki, oka. Są to wszystko szczegóły tak drobne, tak subtelne, że ich panorama, posiłkująca się szerokim rozmachem pędzla, wielkiemi plamami i rysami, zaznaczyć nie jest w stanie, a jednocześnie tak ważne, że bez nich mowy być nie może o jakiemś głębszem, bardziej wstrząsającem wrażeniu. To też, bądźmy szczerzy, wobec tej sceny pozostajemy najzupełniej chłodni, a dla niewtajemniczonego w jej treść widza jest ona wprost niezrozumiałą.

A nawet i ten wielki, najdramatyczniejszy moment Berezyny, przejście wojsk przez załamujące się mosty, nie targa nerwami widza, jakby się tego spodziewać należało. Zbytnie oddalenie od punktu widzenia sprawia, że cała masa ludzi, koni i wozów roztapia się w szereg potwornych, niekształtnych, różnobarwnych plam, z których pojedyncze szczegóły zaledwie z trudnością pochwycić się dają. Największe bezwątpienia wrażenie czynią to bliższe pierwszoplanowe grupy uciekających; tu się rozgrywa cały szereg okropnych, wstrząsających dramatów... Lecz tego za mało na „Berezynę...“

Jeśli więc w niej zechcemy szukać skończonej całości, to jej nie znajdziemy, natomiast podziwiać należy znakomite, z mistrzostwem prawdziwem nakreślone szczegóły. A przedewszystkiem — ten pejzaż taki prawdziwy, szczerze odczuty, o perspektywie tak głębokiej, że zda się w nieskończoność sięga, te śniegi, szczególniej nad brzegiem rzeki, topniejące, brudne i tak przedziwnie grząskie, niektóre „skrawki“ wody samej, np. ten jej kawałek, na którym zlekka zakołysały się fale, wreszcie te zimne, takie kruche tafle zwolna płynącej kry. Są doskonale żywe, ogromnie plastyczne konie (chociażby ten na lewo, wydrapujący się z mozołem na śliski brzeg), są stada kruków, spadające chmurą całą na padlinę, tak przerażające, jak gdyby wiało od nich tchnieniem śmierci, są wreszcie niektóre typy, postacie, ruchy znakomite, jak np. ten jeździec, co siedzi na koniu, wsparłszy głowę na dłoni, zapatrzony w kruki, ten Żyd, co z zakłopotaniem drapie się w głowę, stojąc nad zdychającym koniem, ten wierny sługa cesarza, mameluk Rustan, z dwoma arabczykami na uwięzi, wpatrzony całą duszą w oblicze ukochanego władcy, i tyle innych, żołnierzy, kobiet, woźniców, maruderów... Niepodobna wreszcie pominąć milczeniem niektórych grup i scen o nastroju wysoce dramatycznym, jak np. kuchnia polowa (żołnierze, ćwiartujący i piekący zdechłego konia), kareta z uciekającemi artystkami komedyi francuskiej, żołnierze, niosący na ka-

rabinach rannych i in., lecz są to wszystko kawałki, skrawki, fragmenty — nie całość...

I naostatek jeszcze jedna kwestya. Panorama jest nietylko dziełem sztuki, lecz i „sztuczki"; ta ostatnia warunkuje dokładność złudzenia optycznego. Otóż „sztuczka" artystom naszym nie dopisała: teren fałszywy jest ułożony stanowczo niefortunnie. Powinien on przedewszystkiem rozpoczynać się u samych stóp widza, któremu w ten sposób się wydaje, że sam jest *na* obrazie nie *po za* nim. Tymczasem, między nami, a błotami w których tonie armia francuska, a wraz z nią i szczęśliwa gwiazda Napoleona, ciągnie się niewiadomo po co dość szeroka dróżka grabiami wygładzonego piasku, brutalnie odrzynająca się od tła obrazu, a sztuczny śnieg z kępkami zeszłorocznej pożółkłej trawy i grupami nagich brzózek tak nieodpowiada kolorytem śniegom malowanym, że najdokładniej określić możemy linię, oddzielającą fałszywy teren od obrazu. Wskutek tych dwu rażących błędów złudzenie pierzcha, widzimy jasno, że leżący przed oczyma naszymi obraz jest malowany, a stąd też wszystkie prawie grube, śmiałe pociągnięcia pędzla występują przed nami w całej ich przykrej, twardej nagości...

Żal doprawdy wysiłku artystów, żal ich natchnień, talentu i pracy, która nie stracona na panoramę, dać by mogła rzeczywiste, przepiękne dzieło sztuki. Nic to nie znaczy, że pracowali razem, że na każdym kroku ścierały się różne indywidualności, różne charaktery: Fałat, Kossak, Wywiórski, Stanisławski, Piotrowski i Pułaski umieli nagiąć się wzajemnie do siebie, wniósł każdy z nich do dzieła, co miał najlepszego, lecz widocznie ta w piersiach ich żyjąca prawdziwa *sztuka* jedna się nagiąć nie chciała... do wymagań *sztuczki*...

Michał Mutermilch.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

„Cyganerya" Pucciniego.

Beaumarchais stary, filozofując niegdyś na temat, dlaczego opera go nudzi, doszedł do wniosku, że *za wiele jest muzyki* we współczesnej mu muzyce teatralnej. „Opera — mówi on — *cuchnie* muzyką: *puzza di musica!*" Czy to już wtenczas miało być sformułowaniem potrzeby, a poniekąd i przeczuciem dramatu muzycznego — trudno przesądzać, to pewna tylko, że autor „Cyrulika sewilskiego" z takiej „Cyganeryi," ilustrującej cudne dzieło jego współrodaka, pozostałby zadowolony. Dzisiejszy kompozytor, którego po za mniej lub więcej piękną kombinacyą dźwięków interesuje także i dusza ludzka, czuje dobrze, że za pomocą samej muzyki określić charakteru i sytuacyi niepodobna. Muzyka może tylko podkreślać, rozwijać, wyjaśniać stany psychiczne, ale nigdy nie potrafi ich tworzyć. A ta dusza ludzka, chociaż tak bardzo złożona, dla muzyka nie jest bynajmniej niedostępną: kilka słów często, kilka dźwięków wyjaśnia ją całkowicie.

Stąd i forma takiego dzieła, jak „Cyganerya." Z jednej strony, jako temat, życie młode, kipiące, wrażeniowe, spalające się tak szybko, że nie zdąża wyodrębnić się w określony typ, z drugiej — muzyka, jako wykonanie, naśladująca falowe ruchy tego życia, nie wypowiada się w skończonych aryach, ale wybucha w urywanych frazesach. Już pierwszy motyw wstępu, chociaż dziwaczny w rytmie, jest tak nastrojowy, że prześladuje przez cały wieczór. Początkowo urwany i ściągnięty, w pierwszym akcie całkowity i pełny — w dalszym ciągu dzieła przekształca się, zmienia, zabarwia, rośnie albo maleje; czasami doleci nas tylko jaki strzępek jego, odłamek frazesu, czasami jeden tylko ton, niby od niechcenia podchwycony przez jaki instrument, ale i tego dosyć, ażeby wywołać nagle cały świat wrażeń poprzednich. W taki sposób zapanowuje kompozytor nad słuchaczem i w ciągu całej opery poddaje mu myśli, uczucia i temperament własny. A ten temperament! Temperament nerwowca, któremu głowa pęka od nadmiaru pomysłów, może nie zawsze równej wartości, ale zawsze pełnych życia! Jeden wylewa się przed drugim: nie zdąży się jeszcze frazes muzycznie uwypuklić, a już go drugi podmywa, zalewa i pochłania. Nic tu prawie nie występuje jako skończona całość, nic by tu prawie nie można wyciąć z ogólnego obrazu, odbić od tła jako główkę aniołka np., albo kawałek łączki i obnosić po świecie jako rekomendacyę dzieła: patrzcie, jaka to całość musi być piękna, kiedy już te kawałki są tak starannie odrobione i tak zajmujące samo przez się! Najwybitniejsze cząstki opery, jak duet z aktu pierwszego, walc w akcie drugim, duet i kwartet z trzeciego, oraz wstrząsające finały dwu ostatnich byłyby zupełnie blade w oderwaniu od całości aktu. Byłoby to, jak oddeklamowana, pojedyncza strofka z wiersza Mallarmego albo René Ghila: prawda, jakie to cudaczne, dziwne, a nawet oburzające!

I byłoby to dzieło rzeczywiście dziwacznem zbiorowiskiem muzycznych frazesów i pomysłów, gdyby nie orkiestra. Ona jest cementem, spajającym cegiełki gmachu, ona łagodzi to, co dzikie, ukrywa to, co niefortunne, wyjaśnia to, co zagmatwane, przysłania to, co drugorzędne, podkreśla to, co główne. Pod względem umiejętności spożytkowania środków orkiestrowych jest Puccini omal że nie mistrzem: instrumenty są tutaj organami mowy, każdy ma swoją indywidualność.

„Cyganerya" niżej stoi od poprzedniej opery Pucciniego „Manon Lescaut": było tam większe skoncentrowanie sił twórczych, większa równowaga duchowa przy jednocześnie większej intenzywności natchnienia. Może to i wina tematu, którego mu dostarczył Murger, a nad którym muzyk nie potrafił zapanować w zupełności. Nie wynika stąd jeszcze, ażeby „Cyganerya" świadczyła o upadku talentu Pucciniego, jak np. „Rantzau" świadczą o upadku talentu Mascagniego — taki np. duet w akcie pierwszym jest prawdziwą perłą. Trzeba mieć bardzo piękną duszę, ażeby umieć tak dyskretnie podmalować tło dla rodzącego się uczucia.

Najlepiej świadczy o dziele to, że słucha się go jednym tchem, z niesłabnącem na chwilę zajęciem. A przytem pomimo akcyi, rozgrywającej się około r. 1830, dzieło jest nawskroś współczesne. Puccini jest takim samym współczesnym impresyonistą w dziedzinie opery, jakim Czajkowski w dziedzinie symfonii — i to pomimo całej różnicy talentów. I o ile głębszą i czystszą jest muzyka symfoniczna od operowej, o tyle głębszą i czystszą jest twórczość Czajkowskiego od twórczości Pucciniego. Mamy jednak wielkie pokrewieństwo: i tu i tam wyraz miłości, wesela, czy rozpaczy skrzywiony zostaje częstokroć i wyjaskrawiony w oświetleniu bujności natchnienia. I tu i tam najszlachetniej zarysowuje się cierpienie. I tu i tam mamy cierpienie ludzi współczesnych. I jeden i drugi zrozumiali są tylko, jako wytwór końca wieku.

Wykonanie opery i wystawa były świetne: bodaj czy nie pierwszy raz na scenie warszawskiej widać było taki ruch i udział w akcyi, jak w akcie drugim.

Główną partyę kobiecą śpiewała p. Steble: dzięki temu wiało ze sceny tchnienie sztuki bardzo wielkiej i bardzo czystej.

wl. st.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. „Dzieje narodu polskiego," z przedmową W. Smoleńskiego, z mapami, część I (193 s.). „Bibliot. dzieł wyborowych."

— A. O. Sypniewski: „Dzieje czasów najnowszych" od r. 1815, przeł. z niem. K. Król, wyd. II (287 str.). Petersburg. Grendyszyński.

ETNOGRAFIA. G. Krahmer: „Syberya i znaczenie wielkiej kolei syberyjskiej," tłom. W. Trompczyński (150 str.). „Bibl. dz. wyb."

HISTORYA LITERATURY. P. Chmielowski: „Obraz literatury polskiej," z. 19.

PODRĘCZNIKI. S. Pisarzewska: „Nauka pisania i czytania pisanego dla użytku samouków" (142 str.). Tanie wydawnictwa.

— M. Dzierżanowska: „Krótka gramatyka polska i ćwiczenia językowe," kurs pierwszy (63 str.). Fi****.

— A. Szyc: „Gramatyka języka polskiego dla dzieci zaczynających uczyć się systematycznie," z przykładami, ćwiczeniami i wskazówkami dla nauczycieli (219 str.). Arct.

— „Co się dzieje w ulach? — życie i obyczaje pszczoły zwyczajnej" (82 str., z rysunkami). Tanie wydawnictwo.

— J. Stecki: „Zasady ogólne ekonomii społecznej" (212 str.). Gebethner i Wolff.

ENCYKLOPEDYE. „Powszechna" Orgelbranda z. 49, „Rolnicza" z. 79.

PRASA. Pod redakcyą prof. A. Czernego, szczerego przyjaciela narodowości naszej, wychodzić będzie w Pradze czeskiej miesięcznik *Slowansky Přehled* (3 złr. 20 c. rocznie).

— Zacznie wychodzić w Warszawie miesięcznik *Światło*, poświęcony ruchowi wynalazczemu i fachowemu w sprawach technicznych i artystycznych zastosowań światła. Redaktor: J. Boguski; cena 5 rb., z przesyłką 6.

HUMORYSTYKA. „Bąk," kalendarz humorystyczno-satyryczny na r. 1899. Sadowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

NIECO Z ETYKI I EKONOMII.

Są na świecie mądrzy ludzie, a kark, zgięty od starości, popiera rozsądne rady świadectwem, iż doświadczenie wielu dziesiątków lat przemawia przez usta. Głosem bezdźwięcznym udzielają oni przestróg młodszemu pokoleniu: zalecają moralność utylitarną, tak starą na świecie, jak odwiecznymi są na nim filistrzy; prawią o powściągliwości i ostrożności w postępowaniu, każą pamiętać o przysłowiu, że pokorne cielę dwie matki ssie; rozwodzą się szeroko o korzyściach oszczędności. Co wyraz, to złoto! Mędrcy tacy, zwolennicy filozofii złotego środka, zabierają głos nietylko w towarzystwie. Piszą oni — nie zawsze starzy wiekiem, pewne typy mózgowe są niezależne od liczby krzyżyków na plecach! — olbrzymie traktaty z dziedziny moralności i ekonomii, w których podobnie rozpatrują zagadnienia życia społecznego. Z każdego wiersza czuć tam miarę i rozsądek, otulone czemś rozpaczliwie nudnom, chyba jakiś *enfant terrible* w rodzaju Benthama zapomni o przyzwoitości, która powinna być nieodłączną od filozofii tanich morałów. Książki takie są pisane według raz na zawsze ustalonej recepty: dużo frazeologii na temat cnoty, jeszcze więcej przestróg i pogróżek, ogólników bez liku i wreszcie nieco faktów. Obo-

wiązków co niemiara! Gdy czytam tego rodzaju rady, przychodzą mi na myśl czyjeś paradoksy: „Czyż nie wszystko powinno być moją sprawą? i sprawa ludzkości, i prawdy, i wolności, i humanitarności, i sprawiedliwości!.. wreszcie sprawa ducha i tysiąc innych spraw.. Tylko moja własna sprawa nigdy nie powinna być moją sprawą!..“ Zwłaszcza gdy mam przed sobą morały na temat oszczędności, uczuwam ochotę zawołania: dlaczego tak mało dbacie o moje „ja“ indywidualne!

Świeżo ukazała się w języku polskim praca p. J. Kirszrot-Prawnickiego: „O oszczędności, kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych.“ Nagłówek jej informuje nas dostatecznie o zawartej tam treści. Jedna część jest poświęcona przedstawieniu instytucyi oszczędności. Rzecz to niewątpliwie pożyteczna. Ale autor nie poprzestał na podaniu tego, co przynosi pożytek, bo uznał za stosowne pofilozofować, to zganić, a tamto pochwalić. Pozostawiając na uboczu stronę faktyczną książki, pragnęlibyśmy zatrzymać się nad niektóremi zagadnieniami, poruszonemi przez p. Kirszrot-Prawnickiego.

I. Gospodarstwo indywidualne i społeczne.

Jeden z wybitniejszych, acz mocno zachowawczych ekonomistów, ubolewa nad nieumiejętnością pospolitej ekonomii stanięcia na należytym punkcie widzenia w rozbiorze zjawisk życia społecznego: „Zamiast wyjść z założenia, iż, skutkiem podziału pracy, społeczeństwo stało się zwartą jednością ekonomiczną; zamiast wyjaśnić, z punktu tej całości, poszczególne kategorye i zjawiska społeczne; wreszcie, zamiast postawić na czele pojęcia: mienia narodowego, dochodu narodowego i innych, oraz wyprowadzić z nich części, przypadające na pojedyncze osoby, nauka społeczna nie oparła się wygórowanym indywidualistycznym dążeniom chwili. To, co pod wpływem podziału pracy zamieniło się na zwartą całość, na coś z natury swojej społecznego, to rozerwała ona na strzępy i, wychodząc z tych strzępów, z cząstki, przypadającej na pojedynczą osobę, usiłowała wznieść się do zrozumienia całości.“

P. Kirszrot-Prawnicki — przynajmniej takie wynieśliśmy wrażenie — również z po za drzew nie widzi lasu! Są w jego książce niejednokrotne wzmianki o interesie społecznym i o korzyściach, które naród odnosi z wstrzemięźliwości jednostek. Bądź co bądź jednak, oszczędność jest tam traktowana jako zjawisko wyłącznie gospodarstwa indywidualnego i z tego powodu nie została ani właściwie oceniona, ani zbadana. Autor ten należy do grona ekonomistów, o których Hobson robi ironiczną uwagę, że poczytują oszczędzanie za coś identycznego z operacyą pieniężną i nie mogą w dostatecznym stopniu wybiedz po za pojęcie składania pieniędzy do banku.

Na czem polega oszczędność?

Postarajmy się przetłomaczyć na język społeczny ów fakt życia prywatnego, tę wstrzemięźliwość, która, zamiast wydania pieniędzy, umieszcza je w walorach procentujących. Nasze zadanie polega na zbadaniu, co dzieje się z oszczędnościami osób pojedynczych, jeśli będziemy je rozważali nie jako kategoryę gospodarstwa indywidualnego, ale jako części czegoś obszerniejszego — „oszczędności narodowej.“ Przy takiej analizie zdarza się, iż odpowiednia rubryka gromadna nie stanowi prostej, arytmetycznej sumy składników, zaczerpniętych z gospodarstwa prywatnego, oraz że wiele cyfr, mających przy sobie plusy z punktu widzenia pojedynczej osoby, zjawiają się ze znakiem odmiennym, rozważane ze stanowiska ogólniejszego.

I oszczędność nie jest wyjątkiem.

Przedewszystkiem, co należy rozumieć pod wyrażeniem: „oszczędność społeczna“? Ustrój nasz, oparty na produkcyi towarów, prawie zupełnie zaciemnił to pojęcie i wyrugował je z życia. Nie zawsze jednak tak bywało! Istniały formacye więzi społecznej, w których ta kategorya, zamaskowana przez stosunki dzisiejsze, prowadziła byt namacalny, dla każdego wyraźny. Do takich należy „obszczyna,“ spotykana jeszcze w wielu punktach globu i między innymi w Wielkorosyi. Zwyczaj nakazywał tam wydzielić z ogółu gruntów pewne pole, uprawiano pospołu przez mieszkańców gminy, a plony z niego szły do śpichlerza obszczynnego, w którym przez lat wiele były przechowywane na wypadek nieurodzajów. Były to w mniejszych rozmiarach, acz w tysiącznych okazach, zapasy Faraonowe zboża na zapowiedziane siedem lat głodów. Taki budynek z zawartym w nim ziarnem stanowił żywe wcielenie oszczędności społecznej i każdy z obywateli wioski rzekłby o niej: jest to nasza praca, wyłożona ponad miarę, niezbędną dla zaspokojenia naszych bieżących potrzeb. Ustrój dzisiejszy nie zna takich pomników, głoszących, że społeczeństwo powinno oszczędzać, choć to, czego one były widomym wyrazem, istnieje — ukryte, rozstrzelone, zamaskowane. Zresztą sprawa posiada szerszy charakter. Uwzględniając tylko tę stronę, możnaby wywnioskować, iż oszczędność polega jedynie na powściągliwości. A tymczasem nawet śpichlerze gminne rozwiązują tylko cząstkę tych zadań, które w ustroju obecnym ciążą na oszczędności prywatnej. Bogactwo narodowe bowiem składa się nietylko z wiktuałów i wogóle przedmiotów bezpośredniego spożycia. Zawiera ono w sobie rubryki różnorodniejsze. Trzeba wziąć pod uwagę i maszyny, przy których pomocy produkujemy, i domy, w których mieszkamy, i dobra publiczne, z których korzystamy, jak: szkoły, drogi, poczty i in. Rzeczy te wraz z przedmiotami bezpośredniego spożycia stanowią o zamożności narodu. Walory papierowe, odgrywające taką doniosłą rolę w życiu gospodarstwa dzisiejszego, tracą swoje znaczenie, gdy poddamy je oświetleniu z takiego stanowiska. Są one środkami wymiany dóbr, wyrazami zobowiązań wzajemnych, wreszcie przekazami na rzeczywiste dobra — niczem więcej. Kiedy więc możemy powiedzieć, iż społeczeństwo oszczędza? Naturalnie tylko wtedy, gdy powiększa bogactwo swoje, tj. zakłada nowe drogi, karczuje zarośla, buduje nowe domy i wytwarza maszyny, mające służyć do produkcyi nowych przedmiotów lub dawnych, ale w zwiększonej ilości. W każdym z tych wypadków społeczeństwo „zaoszczędza,“ tj. wkłada większą ilość pracy, aniżeli ta, jaka jest niezbędną dla uczynienia zadość wymaganiom chwili bieżącej.

Ażeby ocenić doniosłość oszczędności dla społeczeństwa, dokonywanej przez pojedynczą osobę, powinniśmy zawsze rozważać, w jakim stosunku będzie ona do owego przyrostu bogactwa narodowego, którego jest, że tak rzekniemy, najpierwotniejszą różniczką. Istnienie pieniędzy nieco zaciemnia sprawę — są one, w pewnej mierze awizacyami na produkty, a że pomiędzy tymi przekazami a przedmiotami materyalnymi zdarza się rozdźwięk, okoliczność ta nie znosi zasadniczego charakteru rzeczy. Oszczędzanie prywatne tylko wtedy będzie oszczędnością społeczną, marnotrawstwo — marnotrawstwem, o ile te czyny tak lub inaczej oddziaływają na wzrost produkcyi narodowej: dostarczają do niej środków lub niczem nie przyczyniają się do postępu materyalnego. Rozważane z takiego punktu, postępki osobiste mogą niejednokrotnie okazać się pospolitem mamidłem i wstrzemięźliwość, acz istniejąca i dla jednostki pożyteczna, ani na źdźbło nie powiększa zasobów mienia społecznego. Robertson, a za nim Hobson poddali rozbiorowi tę stronę rozpatrywanej działalności — „cnoty,“ jak Smiles i inni mówią. Przypuśćmy, że ktoś, odmawiając sobie przyjemności i takiem postępowaniem zwężając rozmiary spożycia, zgromadził pewien kapitalik. Naturalnie nie trzyma go u siebie, jak robili dziadowie, ale pragnie umieścić, ażeby dawał procenty, oddaje więc swój fundusik obywatelowi ziemskiemu na hypotekę, albo kupuje akcyę jakiegoś towarzystwa lub walor państwowy. Ze stanowiska pospolitej ekonomii rzecz została załatwiona: dokonano oszczędności i nawet ją zrealizowano, „bogactwo narodowe“ wzrosło. Jednak umieszczenie takie kapitału nie rozstrzyga jeszcze kwestyi. Może się zdarzyć, iż ziemianin pożyczył pieniędzy na spłatę dawnego długu, który zaciągnął z powodu życia nad stan; może również obecnie otrzymaną pożyczkę przeje i przegra. Może walor państwowy został wypuszczony na wydatki wojenne i czyjś fundusz będzie użyty nie na podniesienie produkcyi, ale rozejdzie się, z dymem dział, w powietrzu. Wreszcie kupiona akcya może reprezentować tylko pozorną wartość i zamienić się pewnego dnia na świstek papieru, wyrzucony z giełdy. We wszystkich tych przypadkach społeczeństwo nic nie zyskało na zaparciu się jednostki, dokonana oszczędność, będąca może ważną rubryką w czyimś budżecie prywatnym, nie istnieje dla narodowego! Może się zdarzyć, że przemysłowiec, który, z powodu zmniejszenia wydatków przez obywateli, nie sprzedał zwykłej ilości towaru, zmuszony został, pod rękojmią powstałego nadmiaru, pożyczyć zaoszczędzone pieniądze. I w tym razie powściągliwość nie stworzyła nowego bogactwa. Kwoty, odłożone przez jednostkę, tylko wtedy stają się składnikiem oszczędności społecznej, pierwiastkiem zwiększonego mienia narodowego, gdy przez zbierającego lub przez tego, kto obraca tymi pieniędzmi, zostały użyte na cele produkcyjne.

Ustrój społeczny, oparty na gospodarstwie indywidualistycznem, uskutecznia wielkie zadania życia gromadnego nie w prosty i jawny sposób, tylko manowcami, podniecając i jako dźwigni używając namiętności ludzkich. Pojedynczy członek narodu musi odkładać coś na starość i na zabezpieczenie bytu wdowy i dzieci swoich po śmierci. Dokonywa tego, party tylko pobudkami osobistemi, nie dbając o żadne cele ogólniejsze. W ostatecznym rezultacie działalności swojej przysparza on bogactw społeczeństwu i umożliwia postęp produkcyi. Ale jak wszelka czynność, odbywająca się żywiołowo i ubocznie, tj. nieświadomie, tak samo gromadzenie kapitału narodowego z oszczędności prywatnych, trwoni nadaremnie wiele wysiłków i zapasów. Otrzymany skutek bynajmniej nie odpowiada włożonym staraniom: jest znacznie niższy. Ponieważ nam tutaj chodzi o oszczędności warstw małozamożnych, a więc z natury swojej drobne, przeto zanim wlewają się one w potok produkcyjny, musi zjawiać się ręka, pośrednicząca w tem zadaniu. Fundusik wypływa z bezpiecznego portu, w którym dotychczas się znajdował, na otwarte morze, gdzie go czekają różne przygody. Rzecz dziwna, że pisarze mieszczańscy, umiejący tyle zapisać bibuły morałami na temat cnoty oszczędzania i poświęcający tyle uwagi każdej próbie w tym kierunku, nie mają odwagi podnieść pytania, co dzieje się z oszczędzonem tak ciężko groszem. Obchodzi ich tylko postępowanie jednostki, jej cnoty i dobre uczynki, lecz nie losy późniejsze, które spotykają kapitalik poszukujący umieszczenia. Że jakaś Panama może pochłonąć prawie połowę rocznej oszczędno-

ści całej Francyi; że bankructwo Portugalii lub Argentyny zabiera tak samo owoce powściągliwości tłumów, ta odwrotna strona medalu pozostaje zamilczaną. Mówiąc o umieszczaniu oszczędności, wspominają oni tylko lub przedewszystkiem państwowe kasy, jak gdyby to była alfa i omega lokacyi (nie mówimy nic o skutkach ujemnych posiadania przez bank państwowy tego rodzaju źródeł pieniężnych). A jednak rzecz to niewątpliwie zasługująca na zbadanie! Ekonomiści bardzo powstają przeciw wszelkim formom loteryi. Tymczasem, przy bliższej analizie, okazałoby się, że w krajach zasobnych, w takiej Francyi np., oszczędzanie jest poniekąd grą na loteryi, wprawdzie z mniejszemi szansami przegranej, ale bądź co bądź grą! Kramikarz, robotnik, rzemieślnik uszczuplają sobie potrzeby, ażeby coś odłożyć na późne lata, i pierwszy lepszy krach w niwecz obraca rezultat lat wielu. Byłoby rzeczą ciekawą obliczyć, jaki procent przepadające w ten sposób fundusze stanowią w całej sumie rocznej oszczędności warstw niezamożnych. Musi on być dość znacznym, jeśli redaktor pewnej gazety demokratycznej w New-Yorku zapewniał mnie, że robotnicy fabryczni amerykańscy odkładają coraz mniej, bo nie chcą daremnie pracować na spekulantów giełdowych.

Ostatnio wypowiedziana uwaga dotyczy naturalnie stosunków amerykańskich. Istniały okresy, w których kompletna przepaść dzieliła lokacyę oszczędności od gry na loteryi. Powściągliwość i inne cnoty w zaraniu industryalizmu odegrały olbrzymią rolę: zamieniły one oszczędnych rzemieślników na kapitalistów. Oszczędność to cnota klasowa — wybijającego się drobno mieszczaństwa: rzemieślników, kramikarzów i włościan.

K. R. Ż.

W DALI.

Kielce. *Gazeta Kielecka* podaje ciekawe szczegóły o bogactwach ziemnych w gubernii. Pokłady marmurów ciągną się na przestrzeni 30 wiorst kwadratowych. Całe pasma wzgórz, a nawet gór dochodzących do 850 stóp wysokości, okalających marmurów: szarych, czerwonych, czarnych ubarwionych żyłkami, punkcikami, siatkami, odmiennych od tła a często bardzo żywych kolorów. Np. marmur z Bolechowic zawiera ciekawe skamieniałości, w oryginalnych opłotach, tworzące jasną siatkę na czerwonym podkładzie. Bogactwa pokładów marmurów kieleckich określić niepodobna, ponieważ samo zbadanie grubości pokładów na tak znacznej przestrzeni, pochłonęłoby miliony. To tylko pewna— że jeżeli węgla w Dąbrowie starczy na lat 400, to marmurów kieleckich na lat 800, nawet wówczas, gdyby pokłady ich eksploatowano tak, jak pokłady węgla. Obecnie kopalnie marmurów mają najwyżej pięć sążni głębokości. Na jakie marmury natrafią ludzie w głębokości 10 i 15 sążni, niewiadomo. Być może, że w głębiach gór marmurowych kryją się żyły malachitu, lazuru, srebra, których okruchy już obecnie znajdują na powierzchni. Pokłady marmurów eksploatowane są obecnie zaledwie w kilku kopalniach: Szewce, Korzecko, Chęciny (Zygmuntowska), Bolechowice, Zalejowo, Słupiec. W dziesiątkach gór zaniechano eksploatacyi, gdyż zbyt kosztowną była uciążliwa dostawa kamienia i wydobywanie brył z kopalni, nierozporządzających ulepszonymi przyrządami. Obróbką marmuru trudni się w Kielcach i Chęcinach około 150 kamieniarzy. W Kielcach istnieje parowa fabryka wyrobów z marmuru, która zatrudnia 50 do 75 robotników uzdolnionych. W Chęcinach i Korzecku obróbką marmuru trudni się dwudziestu kilku kamieniarzy, wyrabiając przeważnie płyty do schodów, płyty do stołów, oraz popielniczki i przyciski. Fabryka parowa kielecka zagarnęła wszystkie poważniejsze roboty, jak budowy ołtarzy, wyrób posadzek w kilku kolorach, nagrobków, stołów, schodów, chrzcielnic, kropielnic, wazonów itd. Wogóle jednak eksploatacya marmurów kieleckich jest jeszcze słabo rozwinięta, a kosztownego kamienia używają do budowy... dróg szosowych. Główną przeszkodą rozwoju tego przemysłu są wysokie taryfy kolejowe, utrudniające wysyłkę gotowych wyrobów do miejscowości odleglejszych.

Petersburg. *Torg. prom. gaz.* podaje ciekawe szczegóły o ruchu pasażerskim na kolejach żelaznych. W r. 1897 wszystkie koleje w państwie przewiozły 56,534,827 osób; 31,353,500 za biletami taryfy ogólnej i 25,181,327 za biletami taryfy podmiejskiej. Najwięcej osób podróżuje tanio. W pierwszej grupie (taryfa ogólna) klasą I przejechało 1,3%, II — 9,2%, III — 79,3%, i IV — 10,1%. To samo i w grupie drugiej (tar. podmiejs.), tu bowiem na podróżnych klasą I wypada 1,1%, II — 10,5% i III — 88,4%. Cyfra biletów sprzedanych w r. z. na niektórych kolejach:

	Taryfy: ogólne	podmiejskie
Wiedeńska	2,383,159	290,983
Nadwiślańskie	781,287	1,352,659
Dąbrowska	384,262	417,833
Łódzka	322,588	117,032
Petersburska	1,219,325	1,725,408
Połudn.-Zachodn.	3,424,267	1,423,963
Poleskie	676,767	110,904
Libawsko-Romeńs	756,676	279,182.

— Według *Pet. Wied.*, w centralnym zarządzie ministeryum oświaty mają zajść poważne zmiany. Dziś zarząd ten tworzą: departament oświaty, wydział szkół przemysłowych i komitet naukowy z sekcyami: zasadniczą, wykształcenia technicznego i zawodowego i sekcyą rozpatrującą książki dla ludu. Zmiany polegać będą na rozszerzeniu niektórych wydziałów departamentu oświaty. Między innymi odrębne wydziały utworzone będą z kancelaryi ministra i z sekcyi wykształcenia początkowego. — Dzienniki turkiestańskie, jak donosi *Prawit. Wiest.*, celem zatamowania mylnych pogłosek i sądów, podały do wiadomości publicznej wyniki śledztwa w sprawie o napad zbrojny Iszana Muhameda-Ogly, znanego pod nazwą Dukczi-iszana, na obóz wojska rosyjskiego. Wszystkich uwięzionych podzielono na 8 grup i o każdej z nich podawane były szczegółowe wiadomości w dziennikach miejscowych: *Turkiest Wied.* i *Turkiest. Tuziem. Gaz.*, w językach rosyjskim i sartów. Do śledztwa pociągnięto ogółem 546 osób, z których uwolniono w toku śledztwa 131, a z mocy wyroku sądu wojennego — 32. Pozostałych 383 winnych sąd wojenny skazał: 3 na więzienie, a 380 na śmierć przez powieszenie. Wyrok śmierci wykonano ostatecznie na 18-tu, 362 zaś z mocy Najwyższego rozkazu zesłano do ciężkich robót, na Syberyę i do więzienia. Oprócz tych gmin, których zupełną niewinność stwierdzono, całą pozostałą ludność Ferganu pociągnięto do opłaty grzywny. Z miejscowości, gdzie mieszkał Dukczi-iszan i zaprzyjaźnieni z nim kiszlaczy i gdzie powstała i dojrzała zbrodnicza myśl napadu, ludność tubylcza będzie usunięta, a w miejscu tem założona osada rosyjska.“

KRONIKA.

Na noże. Ciągle czytamy w pismach o nowych zarządzeniach, które mają ukrócić użycie noży w Warszawie i okolicy. Tymczasem zuchwalstwo złoczyńców, napastników ulicznych i podmiejskich nie ustaje. Rabusie na ludnych ulicach, jak w lesie napadają na ludzi, zadając im ciężkie rany. Żadna sprzeczka, żadna libacya nie obejdzie się bez noża. Widocznie jest to choroba organiczna, której środkami doraźnymi nie można usunąć. Wiemy, że im więcej światła spływa do mózgów ludzkich, tem łagodniejsze stają się obyczaje, tem łatwiej ludzie zapanować mogą nad dzikimi instynktami i popędami. Za dużo jeszcze mroków otacza i przygniata nasze niziny społeczne.

Szkoły. Przełożona kursów handlowych dla kobiet w Warszawie, p. J. Smolikowska, otrzymała pozwolenie ministeryum skarbu na wprowadzenie pewnych ulg dla słuchaczek. Oprócz uczenic, uczęszczających na wszystkie przedmioty, obecnie mogą być przyjmowane słuchaczki przedmiotów oddzielnych, podług dowolnego wyboru. Ta druga kategorya słuchaczek również otrzymywać będzie świadectwa z ukończenia kursu danego przedmiotu.

— Ministeryum oświaty wprowadzi nowe, powiększone etaty płac, zamiast obecnych, obowiązujących jeszcze od r. 1863, znacznie niższych od etatów innych ministeryów.

— Według ogłoszonego w *Praw. Wiestn.* wykazu, władze gubernialne zatwierdziły ostatnimi czasy 11 towarzystw pomocy młodzieży szkolnej, na zasadzie ustawy normalnej z d. 27 listopada 1897 r.; wszystkie te towarzystwa powstały w Cesarstwie — dwa wyłącznie dla młodzieży żydowskiej.

— W bieżącym semestrze zimowym politechnika w Darmsztadzie otwiera wstęp dla kobiet. Egzaminów wstępnych nie będzie. Wymagane są świadectwa ze szkół średnich.

— W r. b. do uniwersytetu warszawskiego wstąpiło tylko czterech wychowańców prawosławnych seminaryów duchownych, wszyscy na sekcyę matematyczną wydziału fizyczno-matematycznego. Tak małą w porównaniu z poprzedniemi laty liczbę studentów tej kategoryi *Warsz. Dniewn.* tłomaczy otwarciem dla seminarzystów dostępu na wszystkie wydziały uniwersytetu w Jurjewie, oraz powstaniem wydziału prawnego w Tomsku.

Odczyty. W Muzeum przemysłu i rolnictwa rozpocznie się wkrótce nowa serya odczytów o ogniu. Ze względu na znaczną liczbę prelekcyj, serya ta będzie podzielona na dwa abonamenty. W pierwszym, złożonym z 12-tu, przemawiać będą: Jan Trejdosiewicz, Napoleon Milicer, Stanisław Kramsztyk, inż. Adolf Kipmann, Witold Wróblewski i Bronisław Znatowicz. Ceny wejść zniżono. Sprzedaż biletów abonamentowych, o 25% tańszych, już się rozpoczęła.

Teatr. Powstaje nowy teatr pod dyrekcyą p. Zygmunta Przybylskiego w Warszawie. Początkowo przedstawienia odbywać się mają w Dolinie Szwajcarskiej, następnie zaś przy ul. Okólniku w tatersalu.

Koncerty. Dyrekcya teatrów rządowych w Warszawie, przychylając się do wniosku kapelmistrza opery, p. Emila Młynarskiego, postanowiła dawać peryodycznie koncerty symfoniczne na dochód członków orkiestry teatru Wielkiego. W pierwszym, naznaczonym na 14 b. m., weźmie udział fortepianista p. Józef Śliwiński, w drugim, p. Stanisław Barcewicz. Do udziału w koncertach zaproszeni będą wszyscy soliści wybitniejsi.

Konkurs. Dyrekcya teatru hr. Skarbka we Lwowie oznajmia, że termin konkursu na operę polską przedłużono do 1 lipca r. 1899. Nagroda 2,000 ko-

Wystawy i zjazdy. D. 4 b. m. otwarto w Płocku wystawę koni.

— We Lwowie zwołano doroczny zjazd członków galicyjskiego Towarzystwa leśnego.

— D. 5 b. m. otwarto zjazd młynarski w Warszawie. O rezultatach obrad napiszemy osobno.

Zdrowie publiczne. Z Bombaju telegrafują, iż dżuma wzmaga się znowu z wielką gwałtownością.

— Na posiedzeniu Towarzystwa hygienicznego w Warszawie (d. 3 b. m.) obradowano nad tekstem przepisów i sposobem wprowadzenia ich w życie.

Gospodarka miejska. Magistratowi m. Warszawy udzielono pełnomocnictwa do zawarcia pożyczki obligacyjnej w sumie 1,200,000 r. na budowę hali krytej.

Przemysł i handel. Zarząd kantoru Banku państwa w Warszawie zgodził się na urządzenie w magazynach swoich jarmarku na nasiona. Koszt urządzenia wewnętrznego poniesie Towarzystwo przemysłu i handlu.

— D. 10 b. m. w Bagateli otwarty będzie jarmark na owoce. Komitet, chcąc urządzić z jarmarku targowisko hurtowe, postanowił dopuścić sprzedaż od 10 funtów. Będzie ona prowadzona w trojaki sposób: przez samych właścicieli, przez komitet, do wysokości jednej partyi 50 pudów i wreszcie za pomocą wystawionych próbek owoców. Okazy próbne komitet zachowa, do sprawdzenia. Jarmark trwać będzie 11 dni: od 8-ej rano do 9-ej wieczorem.

— Towarzystwo popierania przemysłu i handlu wniosło do ministeryum rolnictwa i dóbr państwa podanie, w którem motywuje potrzebę usuwania, w miarę możności, sił obcych w fabrykach metalurgicznych i wprowadzenie natomiast specyalistów krajowych.

— Bank państwa przyznał płockiemu Towarzystwu wzajemnego kredytu pożyczkę do wysokości 60,000 rb.

— W Warszawie odbył się jarmark na chmiel.

Zmarli. Walenty Kwieciński, artysta opery warszawskiej, pomocnik reżysera.

— Dr. Juljan Jasiewicz, w Paryżu. Był sekretarzem pisma *Bulletin Polonais.*

Odpowiedzi Redakcyi.

J. Dz. To nie jest instytucya naukowa, lecz biuro do wydawania patentów. Więc po co ten groch na ścianę?

Kar. Elem. Wiersz Pani dużo stracił skutkiem rymów męzkich, których wogóle używać trzeba bardzo oględnie i umiejętnie. Inaczej tworzy się nieprzyjemny łomot końcówek.

Panu Bohd. Siek. Bez artyzmu.

x Nie.

Izet. Znowu musimy powtórzyć: rymowanie nie jest jeszcze poezyą.

Interesowanemu. Utwór słaby.

Panu E. Gn. w Kijowie. Elegie Pańskie sprawiają wrażenie skarg szczerych, ale siła w wyrażeniu ich słaba.

Erte. Nic a nic nie rozumiemy.

K. G. z Cz. Rzecz bardzo niedojrzała. Popełnił Pan w najwyższej mierze grzech początkujących — chciał Pan w szklankę wlać morze okropności.

Stałemu czytelnikowi. Pisywał artykuły przeciwko antisemityzmowi, nie umiemy Panu wszakże wskazać tytułów i numerów pism. Mógłby to uczynić tylko ktoś mieszkający w Paryżu.

Zoryanowi. Czy Pan na seryo uważa te wiersze za godne druku?

Sn. Hs. Nw. Niech Pan nie pisze wierszy.

Panu W. K. Wszelkich objaśnień co do studyów i warunków pobytu w Zurichu udzieli Panu tamtejszy „Verein polnischer Studierenden,“ Plattenstrasse [illegible]

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

*które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach **Prawdy**, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko **dwa ruble** bez przesyłki.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Сентября 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.